ZEGARMISTRZOSTWO
Część V. „Zegary wieżowe"
Br. Wawrzyniec Podwapiński
Niepokalanów 1952
Str. 412, liczne ilustracje. Cena 36/-.
Do nabycia w VERITAS F. P. Centre,
12, Praed Mews, London, W. 2
Cześć 1-sza i 2-ga tego dzieła całkowicie wyczerpana. Pozostała na składzie cz. 3 (cena 18.6), oraz cz. 4 (cena 7.6)

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

Ks. dr JÓZEF UMIŃSKI
HISTORIA KOŚCIOŁA
Tom I: Starożytność i Wieki Średnie.
Wydanie 3 poprawione.
Opole, 1949 — str. 588.
Cena z przesyłką 43/-
Do nabycia:
VERITAS FOUND. PUBLICATION CENTRE
12, Praed Mews, London, W. 2.

ROK VII. Nr 21/309

LONDYN 24 MAJA 1953 R.

WROGOWIE STOLICY APOSTOLSKIEJ SĄ WROGAMI POLSKI

W różnych przemówieniach działaczy katolickich w Polsce, zarówno świeckich, jak i duchownych, których zwłaszcza po głośnym procesie krakowskim jest więcej, niż przedtem; w różnych artykułach, jakie ostatnimi czasy pojawiły się w Kraju na łamach pism, przez katolików redagowanych, stale powraca refren, z całością czy to artykułu, czy przemówienia organicznie nie związany, ale raczej sztucznie wtrącony, o konieczności natychmiastowego wprowadzenia na t. zw. „Ziemiach Odzyskanych" stałej, kanonicznie utrwalonej organizacji kościelnej.

Czytając te enuncjacje, nie podobna nie dostrzec zarówno w ich treści jak i formie, że nie są one wyrazem uczuć samorzutnie w duszach polskich powstałych, ale wypełnieniem jakiegoś z zewnątrz narzuconego nakazu, z pobudek z religią nic wspólnego nie mających, a jednak nie obojętne dla stosunku wiernych do Kościoła.

Póki ten postulat, tak bezwzględnie stawiany pod adresem Najwyższych Władz kościelnych, wychodził z ust, czy też spod pióra człowieka, który, mając nóż do gardła przyłożony, dla uratowania życia stał się powolnym narzędziem jawnych wrogów Kościoła, można było z wyrozumiałością dla tego objawu słabości milczeć.

Można było milczeć, kiedy postulat ten stawiała garstka księży moralnie wykolejonych, czy też umysłowo niezrównoważonych, albo lękających się o swoje płatne z funduszów państwowych posady, nie mających większego wpływu na szersze masy wiernych.

Ale kiedy wychodzi on z ust, czy też spod pióra kapłana, w którego ręku spoczęły rządy niemałej cząstki owczarni Chrystusowej w Polsce, milczeć już nie można. Trzeba zdemaskować całą tę robotę. Trzeba na nią rzucić pełne światło. Trzeba odsłonić ukryte jej sprężyny. Bo staje się to już groźne. Zdaje się zapowiadać bunt przeciw Najwyższej Władzy w Kościele, a zatem schizmę. Trzeba więc ostrzec wiernych przed fałszywymi prorokami, a ich samych pobudzić, jeśli to możliwe, do refleksji i nawrotu z błędnej drogi.

Bo o co tu chodzi? W czyim interesie ten postulat się stawia? Czy w interesie choćby jednej polskiej duszy? Czy dla zaspokojenia jakiejś religijnej potrzeby, której w obecnym stanie rzeczy zaspokoić nie można?

Nikt tego wykazać nie zdoła. Boć tymczasowy na razie charakter administracji kościelnej na ziemiach zachodnich nie tamuje bynajmniej, ani nie utrudnia dopływu łask Bożych do dusz ludzkich w Sakramentach świętych; nie krępuje duszpasterzy w ich apostolskiej działalności; nie ogranicza ich wpływu na wiernych. Tymczasowość ich tytułu prawno-kościelnego na wszystkich stopniach tamtejszej hierarchii kościelnej nie umniejsza zgoła ich władzy. Jest to coś czysto zewnętrznego, bez żadnego zgoła wpływu na zakres i siłę ich duszpasterskich funkcji.

Podobny stan prawny organizacji kościelnej, jak obecnie w naszych zachodnich dzielnicach, trwał całe stulecia — od reformacji aż do połowy XIX wieku w Anglii, tak samo w Holandii, blisko sto lat w Stanach Zjednoczonych. Nawet dziś, i to na rdzennie polskich ziemiach, w granicach dawnej Kongresówki, administracja większej części parafii — tych podstawowych komórek kościelnego organizmu — spoczywa w rękach kapłanów, nie mających charakteru proboszczów w sensie kościelno-prawnym, ale tylko administratorów, których władza kościelna w każdej chwili może odwołać.

W takiej n.p. diecezji lubelskiej na 250 parafii zaledwie 72 ma proboszczów kanonicznie instalowanych. Wszystkie inne rządzone są przez administratorów. A jednak nikt z tego powodu lamentów nie podnosił i nie podnosi. Nikt tego nawet nie dostrzega. Wierni żadnej stąd nie ponoszą szkody. Podobnie rzecz się ma w innych diecezjach dawnego Królestwa, nie wyłączając nawet stolicy. W Warszawie na 20 zgórą parafii, tylko 3 — katedra św. Jana, Panny Marii na Nowym Świecie i św. Barbary na Koszykach — mają prawdziwych proboszczów; reszta — nie wyłączając takich, jak Zbawiciela, św. Krzyża, św. Aleksandra — mają tylko administratorów. I nie zmieniło się to, gdy ostatnimi czasy rządcami dwóch z tych parafii (św. Aleksandra Zbawiciela) zostali dwaj biskupi sufragani warszawscy — ks. ks. biskupi Choromański i Majewski.

Co więc pobudza do tak natarczywego stawiania żądań o kanoniczne utrwalenie organizacji kościelnej na Ziemiach Odzyskanych? W czyim interesie ów postulat tak często i tak głośno dzisiaj w pewnych kołach katolickich się wysuwa? O co tu chodzi?... Czy — o ile nie o poszczególne dusze, to może o Polskę? O spotęgowanie jej wewnętrznej spoistości? Czy też o wzmocnienie pozycji na zewnątrz, na terenie politycznym, międzynarodowym?

Naiwną rzeczą byłoby sądzić, że zaprowadzenie kanoniczne stałej hierarchii kościelnej na ziemiach zachodnich mogłoby korzystnie wpłynąć na ostateczne polityczne ich związanie z Polską albo choćby tylko na osłabienie rewizjonistycznych tendencji na tym odcinku wśród niemieckich katolików.

Na terenie międzynarodowym mocarstwa z głosem papieża niewiele się liczą. Dowodów tego nie brak, choćby z ostatnich czasów. Jednym z nich — to całkowite pominięcie opinii Ojca św. w sprawie umiędzynarodowienia miejsc świętych w Palestynie, w której Papież swoją opinię publicznie wyraził i miał do tego tytuł. Podobnie sprawa kardynała Mindszentego, arcybiskupa Stepinacza i inne. Nad tym wszystkim mocarstwa przeszły obojętnie do porządku dziennego. W załatwianiu spraw międzynarodowych każde z państw kieruje się względem li tylko na swój własny interes, na swoją rację stanu. Nie inaczej też z pewnością byłoby i będzie przy ustalaniu naszej granicy zachodniej. Na charakter organizacji kościelnej nikt nie będzie zwracał uwagi. Co więcej, jakkolwiek byśmy na tę sprawę patrzyli, jakiekolwiek byłyby i są nasze w tym zakresie pragnienia, musimy się z tym faktem zgodzić, bo zaprzeczyć mu nie podobna, że jeżeli nie większość, to co najmniej połowa państw, wśród nich kilka na Zachodzie największych i najbardziej wpływowych, tej granicy nie uważa za ostatecznie ustaloną.

Z tym faktem papież musi się liczyć, bez względu na to, jaki byłby jego osobisty pogląd na tę sprawę. Boć jak każdy rozumny człowiek w swoim postępowaniu musi się kierować zasadą roztropności. Stąd w swoich zarządzeniach nie może przesądzać o ostatecznym wyniku tego spornego punktu w przyszłym traktacie pokojowym.

Że mimo to dla naszej sprawy jest życzliwie usposobiony, dowodzi choćby jego ciche przyzwolenie na nowy terytorialny podział administracji kościelnej na tym terenie zgodnie z życzeniami Polski, na otwarcie seminariów duchownych w nowo utworzonych diecezjach, na powołanie nowej kapituły katedralnej we Wrocławiu i inne.

Domaganie się, by papież w sprawie organizacji kościelnej na Ziemiach Odzyskanych już dziś całą powagą swojego urzędu, w uroczystej i ostatecznej formie na naszą stronę się przechylił, jest równoznaczne z żądaniem, by wyszedł ze swojej politycznej neutralności, jaką stale zachowuje; jest wciąganiem go na obcy jemu teren z niebezpieczeństwem obniżenia jego moralnej powagi i spowodowania zgubnych następstw w wewnętrznym życiu Kościoła, rozbicia jego społecznej zwartości. O to z pewnością — bez obawy pomyłki można śmiało powiedzieć — chodzi inspiratorom omawianego przez nas postulatu, których nie trudno odgadnąć.

Ale nie tylko o to, ale o coś bliższego, o wewnętrzne stosunki w Polsce. Bo to natarczywe publiczne domaganie się od władz kościelnych tego, czego one uczynić nie mogą, pomawianie papieża o nieżyczliwość dla nas, dla naszej sprawy, na naszych stosunkach wewnętrznych fatalnie się odbija. Wywołuje ferment, który wewnętrznie Polskę trawi. Osłabia ją w punkcie, który nie bez podstawy uważa się za jeden z najbardziej żywotnych jej centrów — w jej religijnym nastroju, w jej przywiązaniu do katolickiego Kościoła. Bo jeżeli całej tej roboty może być jakiś skutek — to chyba tylko ten — wywołanie w szerokich, bezkrytycznie traktujących rzeczy masach niechętnych nastrojów dla Stolicy Apostolskiej, jakoby mniej dla nas życzliwej; osłabienie uczuciowego węzła, jaki łączy Polskę z Rzymem. A to z pewnością Polski nie wzmocni. Przeciwnie — może tylko osłabić, jeżeli nie całkiem zniszczyć główny nerw jej narodowej odporności, „nerw wieńcowy życia polskiego", jak niedawno trafnie określił religijny nastrój naszego narodu Józef Kisielewski.

Wiedzieli o tym z dawna i wiedzą odwieczni Polski wrogowie. I dlatego, chcąc ją ujarzmić, do zniszczenia tego nerwu przede wszystkim dążyli i dążą. Tak czynił Murawiew. Tak Bismarck. Tak Hitler. Tak Stalin. Jest to wypróbowana taktyka naszych wrogów.

A poprzez Polskę chcą oni dosięgnąć papiestwo, ową Opokę Piotrową, w której, nie bez podstawy, widzą głównego przeciwnika swoich niecnych planów — moralną potęgę, która niewzruszenie zagradza im drogę do całkowitego opanowania świata. Żeby ją zniszczyć, starają się wszelkimi sposobami ją zdyskredytować w oczach wiernych, zwłaszcza wiernego polskiego ludu. Przedstawiają papieża jako stojącego po stronie wrogów Polski, nie mającego zrozumienia dla praw naszych i słusznych naszych żądań, związanego z niskiego wyrachowania z kapitalizmem międzynarodowym, zwłaszcza amerykańskim, który do swoich celów dąży poprzez ucisk i wyzysk ludu pracującego.

Pomawianie Watykanu o związek z kapitalizmem amerykańskim jest stokroć większą krzywdą, niż pomawianie t. zw. „postępowych katolików" o związanie się ich z bezbożnictwem Moskwy.

Jak daleko stoją od siebie Watykan i Wall Street, czy też Kongres Amerykański, wymownie świadczy m. in. zdecydowana, radykalna opozycja Izb Ustawodawczych Stanów Zjednoczonych wobec wysuniętego w swoim czasie projektu nawiązania stosunków dyplomatycznych między Stanami a Watykanem; ta niemal paniczna obawa, która się w ostatnich miesiącach przejawiła, by nowy przedstawiciel Stanów Zjednoczonych przy rządzie włoskim nie wszedł przypadkiem, choćby pośrednio, w stosunku ze sferami watykańskimi.

Jeżeli amerykańskie dolary i do Watykanu także płyną, to nie od wielkich amerykańskich bankierów w rodzaju Barucha, czy Warburga, ale od amerykańskich katolików, którzy w poczuciu braterskiej łączności z resztą katolickiego świata, a przede wszystkim synowskiego oddania Stolicy Apostolskiej, część zapracowanego grosza przesyłają Ojcu św. na wspólne dzieła Kościoła i by mógł w ojcowskiej swojej trosce o tych spośród swoich synów, którzy są w potrzebie, nieść im materialną także pomoc.

Niestety, tego nie wiedzą, czy nie chcą o tym wiedzieć „postępowi katolicy". Dają posłuch sugerowanym sobie przez wrogie nie tylko papiestwu, ale i Kościołowi i samemu nawet Bogu czynniki rządowe. Pozwalają się wciągać do antykościelnej roboty. Winni pamiętać, że kiedyś historia i o nich sąd swój wypowie. Oby nie wypadł on dla nich podobnie, jak dla Siemaszki!

Romanus

O. FR. DANDER, T.J.

DUCH ŚWIĘTY

Objawienie ukazuje nam najpierw w odniesieniu do Ducha Świętego działanie Jego wśród świata, t. j. w Kościele i w duszach. Stąd mamy wgląd w rolę Ducha Świętego przez całą wieczność — w życiu wewnętrznym Boga. Jednakże na tym świecie poznanie to jest otoczone mrokiem tajemnicy.

Spróbujmy lepiej pojąć działanie Ducha Św. w świecie na podstawie samejże tajemnicy Trójcy Przenajświętszej. Pracę naszą oprzemy na wielkich wskazaniach Leona XIII w encyklice „Divinum Illud" z 1897 roku i Piusa XII w encyklice „Mystici Corporis" z 1943 roku. Główny nacisk kładziemy na ustęp z encykliki „Divinum Illud": „Duch Boży, który od Ojca i Syna pochodzi w wiekuistym świetle świętości jako miłość i dar ukazał się w Starym Testamencie pod osłoną figur, a następnie rozlał się sam hojnie w Chrystusie i w Kościele, mistycznym Jego Ciele. Ludzi pogrążonych w zepsuciu i grzechu przemienił obecnością swą i łaską tak zupełnie, że nie są już ziemskimi, choć na ziemi jeszcze przebywają, a stają się już podobni mieszkańcom nieba".

DUCH ŚWIĘTY W ŻYCIU WEWNĘTRZNYM BOGA

1. Kościół w ciągu wieków powtarza modlitwę, którą uwielbia Trójcę Świętą: „Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu." Co znaczy ta inwokacja? Znaczy po pierwsze, że Duch Święty nie jest mocą nieosobistą, ani rodzajem stanu duchowego (jak n. p. „duch ubóstwa", „duch XX wieku"), lecz, że jest o s o b ą.

Jest osobą, tak jak osobami są Ojciec i Syn.

Ta równość pochodzenia wskazuje także na to, że Duch Święty nie ustępuje Ojcu i Synowi ani w wielkości ani w dostojeństwie. Ojciec bowiem jest prawdziwym Bogiem. Uznajemy, że Duch Święty jest p r a w d z i w y m B o g i e m, rzeczywistą osobą Boską.

Nie ma trzech bogów, ani trzech istot Boskich. Dla nas chrześcijan istnieje tylko jeden prawdziwy Bóg. (I Kor. VIII, 4-6). Jeden Bóg, jedno Bóstwo w trzech różnych osobach — oto tajemnica wieczna wewnętrznego życia Boga. Nie możemy jej tu na ziemi oglądać twarzą w twarz.

Gdyby Bóg tego sam w objawieniu nie oznajmił, nigdy by człowiek tej prawdy nie odkrył. Lecz Chrystus ukazał nam prawdziwego Boga, gdy posłał swych apostołów, by chrzcili ludzi „w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego" (Mat. XXVIII, 19), t. zn., by ich poświęcali, by ich dawali na zawsze Bogu w trzech osobach.

Dogmat ten pozostaje nadal t a j e m n i c ą. Najwnikliwsze spekulacje rozumu ludzkiego pozostawionego samemu sobie nie zdołałyby nigdy zapoznać nas z istnieniem trzech osób Boskich: jedynie tylko objawienie — z miłości przez Boga dobrowolnie nam udzielone — daje nam pewność rzeczywistości trzech Osób w jednym Bogu.

Mimo, że przez wiarę uznajemy istnienie jednego Boga w trzech Osobach, to jednak tu na ziemi pozostaje dla nas nieprzeniknione owo „jak?" wewnętrznego życia Boga. I nie trzeba się temu dziwić. Kościół mówi nam w aktach Soboru Watykańskiego: „Mamy wierzyć w ukryte w Bogu tajemnice, których znać nie możemy, jeżeli nie są nam przez Boga objawione... Jednak — oświecony wiarą — rozum dochodzi z pomocą Bożą do pewnego, bardzo owocnego poznania tych tajemnic, jeżeli szuka wytrwale, pobożnie i z umiarem... nigdy ich jednak nie pojmie, tak jak pojmuje prawdy z dziedziny własnego poznania. Tajemnice Boskie przewyższają — z natury swej — tak bardzo stworzoną zdolność poznania, że nawet objawione i przez wiarę przyjęte są jakoby niejasne i otoczone zasłoną, ponieważ w tym życiu doczesnym odległi jeszcze jesteśmy od Pana."*)

Jeżeli takie tajemnice istnieją, to stykamy się z nimi w stopniu najwyższym w Trójcy Świętej, która „mieszka w światłości nieprzystępnej". (I Tym. VI, 16).

Oto właściwy sposób odnoszenia się do dogmatu naszej wiary: wdzięczność za wszystko, co Bóg nam w tym zakresie objawił — ale zarazem pokorna zgoda na granice, które naszemu poznaniu nakreśla wiara i uległość wobec prawdy wiekuistej, mimo, że utkana jest ona ze świateł i cieni.

2. Ojciec, Syn i Duch Święty są równi co do natury jako jeden prawdziwy Bóg, musi jednak istnieć między nimi czynnik r ó ż n i c y. Czynnikiem tym jest w odniesieniu do Ducha Świętego sposób, w jaki p o c h o d z i o d O j c a i S y n a.

a) Mówimy w Credo Mszy św.: „Wierzę... w Ducha Świętego..., który od Ojca i Syna pochodzi". Prawdę tę wyłożył dokładniej drugi sobór w Lyonie w 1274 r.: „Duch Święty — mówi sobor — pochodzi wiekuiście od Ojca i Syna, nie jako od dwóch przyczyn, ale jako z jednej przyczyny; nie z dwóch „tchnień", ale z jednego, jedynego „tchnienia".

Chrystus obiecał swym uczniom „innego Pocieszyciela", którego im pośle od Ojca, „Ducha prawdy, który od Ojca pochodzi" (Jan XV, 26). Duch Święty pochodzi więc od Ojca, skądinąd posłany jest przez Chrystusa, Syna Bożego, a więc pochodzi także od Syna. Stąd rozumiemy, że Duch Syna nazwany jest „Duchem Chrystusa".**)

Z chwilą, gdy zaczynamy badać, na czym polegało owo „pochodzenie" Ducha Świętego, dotykamy tajemnicy. Gdy osoba Boska pochodzi od innej Boskiej osoby, nie jest ona ani wywołaną przyczynowo, ani wytworzoną, ani powołaną do istnienia przez ową inną osobę, gdyż w takim razie byłaby stworzeniem, a nie prawdziwym Bogiem.

Wynika stąd, że Duch Święty otrzymuje równocześnie od Ojca i Syna przez całą wieczność naturę Boską, jedyną, niestworzoną. Oczywiście, że to udzielanie przekracza wszelkie wyobrażenia pojęciowe, bo „pochodzić" zawiera w sobie dla naszego zrozumienia przyczynowość, a stawać się — następstwo w czasie.

b) Charakter właściwy tego „pochodzenia" od Ojca i Syna występuje w zdaniach Pisma św. i w modlitwie Kościoła, które przypisują Duchowi Św. dzieła Boskie, te zwłaszcza, które objawają m i ł o ś ć Bożą, więc: Wcielenie Słowa (Łuk. I, 35), miłość nadprzyrodzoną w człowieku (Galat. V, 22), nowe nasze narodzenie (Jan III,5), rozdawnictwo nadzwyczajnych darów duchowych (I Kor. XII, 8-11). Sam Duch Święty nazywany jest „Darem" (Dz. Ap. II, 38; VIII, 19 i nast.).

W liturgii wielbimy Go jako: „Dar Wszechmogącego Boga, żar ognia, miłość, Ojciec ubogich, Dawca darów, słodki Gość duszy". Miłość charakteryzuje więc i określa pochodzenie Ducha Św.

Ojciec nie pochodzi od nikogo, jest On — że się tak wyrazimy — w bóstwie pierwotnym źródłem najwewnętrzniejszym bez pochodzenia. Syn pochodzi od Ojca, zrodzon przed wszystkimi wiekami, jako Ojca Słowo duchowe, wiekuiste, w którym Ojciec wyraża się doskonale.

Jeżeli rozważać będziemy miłość wiekuistą boskości jako żar ognia, który jednoczy Ojca i Syna, wówczas Duch Św. będzie jakoby płomieniem tego ognia; jest osobistym wyrazem tej miłości, jej wiekuistą radością. Toteż te dzieła nierozdzielnej Trójcy Świętej w obrębie stworzenia, które najlepiej odsłaniają nam pełną dobroci miłość Boga, przypisujemy najchętniej Duchowi Świętemu, który sam jest darem wiekuistej i niestworzonej miłości w Bogu, a stąd także wyrazem hojnej miłości Boga, prawzorem wszelkich stworzonych darów Bożych.

O. Fr. Dander, T. J.

Przekład fragmentu pracy zamieszczonej w „Lumen Vitae" t. VIII, styczeń-marzec 1953.

P.s. „LUMEN VITAE" (27, rue de Spa, Brussels, Belgium) jest „międzynarodowym czasopismem poświęconym wychowaniu religijnemu", wydawanym przez oo. Jezuitów.

*) H. Denzinger — C. Rahner, Enchiridion Symbolorum, 28 ed., 1952 nr 1795/22

**) Rzym. VIII, 9; Galat. IV, 6; Filip. I, 19; Dzieje Ap. XVI, 6 etc.

SED CONTRA

O POŻYTECZNOŚCI BOLSZEWIZMU

Im więcej rozmyślam nad wielkim zjawiskiem, jakim jest bolszewizm, tym bardziej mi się wydaje, że choć ono jest straszne i okrutne, posiada przecież niejedną zaletę. Nie mówię już o tym, że fałszywa nauka Lenina zawiera w sobie — jak wszystkie doktryny fałszywe a cieszące się powodzeniem — wiele, bardzo wiele, prawdy. Ale nawet — może zwłaszcza — przez to, co zawiera fałszywego, stanowi bolszewizm rzecz paradoksalnie pożyteczną. Oto parę szczegółów.

1. My, Polacy, nie wierzymy w moralność polityczną. Jeszcze wczoraj dowodził mi pewien, skądinąd nadzwyczaj godny i zacny Rodak, że etyka to dobre na stosunki prywatne, ale w polityce wygrywa zawsze największy bandyta, że więc — taki wniosek wypadałoby chyba wyciągnąć — mistrzem w tej dziedzinie jest i pozostanie ś. p. Mikołaj Machiavelli. Napróżno przypominałem Rodakowi, jak to coś bardzo podobnego opowiadano sobie w pamiętnym roku 1940 co do Hitlera, no i jak wzięli go w końcu ci, do których z prawa należał, a wygrali ludzie bądź co bądź uczciwsi. Napróżno cytowałem różne podobne wypadki z dziejów. Rodak nie wierzył. Nie tylko nie wierzył, lecz i mocno trwał przy twierdzeniu, że etyka w polityce nie obowiązuje.

I tu właśnie bolszewizm z pomocą przychodzi: bo on jest przecież niczym innym, niż konsekwentnym zastosowaniem poglądów ś. p. Mikołaja i naszego Rodaka. Chcecie? Macie. To wygląda tak właśnie.

2. Inny przykład: Kościół. My, Polacy, jesteśmy, ma się rozumieć, katolicy. Ale Papież, to nie. Biskup, rzecz podejrzana. Proboszcz, ewentualnie jeszcze — zwłaszcza jeśli działa „społecznie"; zato zakonnice — zwłaszcza kontemplacyjne, jakieś tam karmelitanki, czy dominikanki — oczywisty zabobon i szkoda społeczna. Won z Watykanem! Precz z Sapiehą! Kler to „Nasi Okupanci".

No pięknie. Tylko, że bolszewizm, to jest akurat to samo, ale konsekwentniej. Oni też piszą o niepożyteczności karmelitanek, o wrednej polityce Watykanu, o złowrogiej postaci Księcia Metropolity. Nie? Podoba się Szanownym Państwu? Macie, czegoście chcieli. Przecież to jota w jotę program niemałej części „katolickiej" inteligencji polskiej.

3. Przykład trzeci: ubóstwienie państwa, czy narodu. Jakże to pięknie i górnie się o tych bałwochwalczych Ideałach mówiło u nas i mówi jeszcze niekiedy! Ideały te leżą, jak tyrańska moc na polskiej myśli, a razem z nimi pogarda

(Dokończenie na str. 4)

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Dwusetna rocznica cudu eucharystycznego w Orgelet. 21 listopada 1753 r. pożar zniszczył 122 domy i pozbawił dachu 150 rodzin w Orgelet w Jura, kiedy pewien kapucyn z miejscowego klasztoru przyniósł na miejsce pożaru Najświętszy Sakrament, prosząc Boga Utajonego o powstrzymanie katastrofy. Pożar ustał. Od tego czasu aż do roku 1906 odbywała się każdego 21 listopada procesja dziękczynna, ostatnio zaś Msza św. w kaplicy Grand-Christ. W obecnym roku dwusetnej rocznicy postanowiono urządzić bardziej uroczysty obchód.

Kongres katolicki w Indiach. W ostatnich dniach grudnia w Madrasie odbył się pierwszy kongres Wszechindyjskiej Katolickiej Federacji Uniwersyteckiej. Na kongres przybyło ze wszystkich stron Indii 2.500 katolickich studentów, wśród nich 650 kobiet, co jest znamiennym wypadkiem, jeśli weźmie się pod uwagę tradycyjną rezerwę kobiet hinduskich. Kongres poświęcony był przedyskutowaniu odpowiedzialności religijnej, intelektualnej i społecznej młodzieży uniwersyteckiej. Arcybiskup Madrasu-Meliaporu, mons. M. Mathias, podkreślił nie cierpiący zwłoki obowiązek katolickich intelektualistów szerzenia w Indiach zasad chrześcijańskich, by odwrócić ruinę zagrażającą ich krajowi. Profesor technicznego instytutu Maharajaha w Trichur, K. C. Chacko, nastawał na konieczność dawania dobrego przykładu, wskazując, że na pytanie: „Czy jesteś chrześcijaninem?" nie wystarcza odpowiedzieć: „Tak, zostałem ochrzczony", lecz „Tak, zobacz, jak żyję".

Problemy ludnościowe i ich ekonomiczne aspekty. Jak w poprzednich dwóch latach, także i w roku obecnym ci członkowie międzynarodowego katolickiego ruchu „Pax Romana", którzy ukończyli studia uniwersyteckie i tworzą t. zw. ICMICA (International Catholic Movement for Intellectual and Cultural Affairs), zebrali się na kilkudniowe obrady wiosenne. Tym razem w Wenecji, w dniach od 14 do 18 maja, radzili nad problemami populacyjnymi i ich aspektami ekonomicznymi. Referaty stanowiące materiał do dyskusji miały za temat: zasady prawa naturalnego i ich praktyczne zastosowanie do problemów demograficznych, dynamikę demograficzną świata i niebezpieczeństwa braku równowagi, możliwość odzyskania zachwianej równowagi przez wzrost źródeł dochodów i lepsze ich użycie, jako też przez odpowiednio rozwiązany ruch migracyjny.

Udział Polaków i Litwinów w Kongresie Eucharystycznym. W Narodowym Kongresie Eucharystycznym, który zakończył się w niedzielę 19 kwietnia w Sydney w Australii, Polacy wzięli reprezentacyjny udział jako osobna grupa narodowa. Kongresową Mszę św odprawił dla Polaków biskup Leon Scharmach, jezuita, Polak, urodzony w Starogardzie na Pomorzu, obecnie wikariusz apostolski wikariatu Rabaul. Na nabożeństwie obecnych było kilkuset Polaków z najbliższej okolicy. Podniosłe kazanie wygłosił o. Maćkowiak, dominikanin. Biskupowi asystowało kilku polskich księży. Po nabożeństwie biskup Scharmach wygłosił przemówienie, w którym przedstawił losy wygnańców polskich, jak również gościnność australijską, po czym grupie polskiej udzielił błogosławieństwa.

„Catholic Herald" z 8 maja zamieścił fotografię Litwinów maszerujących w strojach narodowych w Kongresowej procesji z Najświętszym Sakramentem, w której wzięło udział 21 tysięcy osób. Litwini nieśli specjalnie wykonany feretron, na którym u dołu widniała Pogoń, nad nią dużych rozmiarów otoczony promieniami Krzyż z napisem na ramieniu poprzecznym „Lithuania", a nad Krzyżem kielich z Hostią.

„Nie rozdzielać, aż śmierć rozłączy!" Na generalnym synodzie luterańskim w Niemczech powzięto następującą uchwałę: „Na przyszłość z reguły będzie się odmawiać ślubu kościelnego osobom rozwiedzionym, bez względu na to, czy osoby te otrzymały rozwód z winy czy bez winy. Wyjątki dopuszczalne będą tylko w szczególnych wypadkach." Pewne koła protestanckie uważają krok synodu za nawrót do katolicyzmu, a jeden z dzienników niemieckich pisze o dotychczasowej praktyce błogosławienia przez kościoły protestanckie wszystkich przez państwo uznanych małżeństw: „Praktyka ta obecnie nie da się utrzymać, ponieważ mnożąca się ilość rozwodów doprowadza do chaosu i zbyt wyraźnego naruszenia ślubowania: nie rozdzielać się, aż. śmierć rozłączy!"

Samobójstwa dzieci. Luiza Despert, lekarka-psycholog z Nowego Jorku, ogłosiła pracę o samobójstwach dzieci. W Stanach Zjednoczonych w ostatnich 15 latach odebrało sobie życie średnio rocznie 55 dzieci w wieku od 5 do 14 lat, w tym trzy razy więcej chłopców, niż dziewczynek. Lekarka stwierdza, że ciężkie depresje występują u dzieci już poniżej 10 lat i zaznacza, że często jedna nieoględna uwaga rodziców lub wychowawców może głęboko zapaść w świadomość dziecka, wywołując fatalne reakcje.

• • •

Reprezentacje dyplomatyczne Stolicy Apostolskiej i Iranu. Stolica Apostolska i Iran ustaliły wymianę reprezentacji dyplomatycznych, z rangą internuncjatury apostolskiej w Iranie i legacji rządu irańskiego w Watykanie.

Biskup Buczko arcybiskupem. Dekretem św. Kongregacji Orientalnej Papież mianował arcybiskupem tytularnym Leucade mons. Jana Buczko, biskupa tytularnego Cadi, wizytatora apostolskiego dla Ukraińców i Rusinów rytu bizantyńskiego w zachodniej Europie.

KS. WŁADYSŁAW RUBIN

OSIEMSETLECIE DEKRETU GRACJANA

Gracjan? Któż to był i co to jest ów jego Dekret? Oto pierwsze pytania, jakie po przeczytaniu tytułu z całą pewnością nasuną się wielu Czytelnikom ŻYCIA. Skoro bowiem włoski prawnik imieniem wielu wyznaje: „Kiedy opuszczaliśmy uniwersytet jako doktorzy prawa świeckiego, nie wiedzieliśmy, że istniał Gracjan, że był tej miary prawnikiem, iż zasłużył sobie na miano „lucerna iuris", że był autorem Dekretu, który dał początek naukowej formacji prawa kanonicznego" („Realtà Politica" z dnia 26. 4. 1952), to cóż może wiedzieć o Dekrecie Gracjana ten, kto studiów prawniczych w ogóle nie odbywał? A jeśli tak, to czy warto poświęcać „jakiemuś tam Gracjanowi" sprzed 800 lat kilka cennych kolumn ŻYCIA?

Aby bodaj częściowo rozbroić Czytelnika, już na wstępie zaznaczymy, że Gracjan w zakresie nauki prawa kanonicznego zajmuje tak poczesne miejsce, jak n. p. Kopernik i Galileusz w astronomii, Newton lub Amper w fizyce, Dante, Goethe i Mickiewicz w poezji, a Michał Anioł, Rafael czy Rubens w sztuce. Ufamy, że po takim twierdzeniu obojętność Czytelnika wobec postaci wielkiego kanonisty i jego dzieła przynajmniej w częście ustąpi ciekawości, by nieco więcej o nim się dowiedzieć z artykułu w osiemsetną rocznicę ukazania się wiekopomnego dzieła, ogólnie zwanego Dekretem Gracjana. Tego rodzaju rocznica, która przypadła w roku ubiegłym, stanowi wydarzenie w dziedzinie kultury i nauki; warto więc poświęcić mu nieco uwagi.

I.

Jeśli na wstępie wspomnieliśmy, że na ogół ludzie bardzo mało lub nic nie wiedzą o Gracjanie i jego dziele, to trzeba też powiedzieć, że o autorze Dekretu nawet najlepsi fachowcy wielu szczegółów historycznych podać nie mogą, a to z tej prostej przyczyny, że nadzwyczaj skąpe wiadomości przekazały nam wieki. Oczywiście, skoro obchodzimy osiemsetną rocznicę ukazania się Dekretu, to jego autor musiał żyć co najmniej przed ośmiuset laty. Kiedy i gdzie się urodził, jakie koleje życia przechodził, kiedy i gdzie umarł? — Na wszystkie te pytania bardzo skąpe są odpowiedzi badaczy. Ogólnie za Marcinem Polakiem*), kronikarzem z XIII wieku, który nam takie zdanie w spadku zostawił: „Hoc anno 1151 Gratianus, monachus de Chiusa civitate Tusciae natus, Decretum composuit" (W tym roku 1151 Gracjan, mnich urodzony w Chiuzie, mieście toskańskim, ułożył Dekret), przyjmuje się w nauce, że Gracjan pochodził z Chiusi, miasta położonego w połowie drogi z Florencji do Rzymu. Niektórzy dowodzą, że miejscem urodzenia Gracjana była wioska Carraria, leżąca niedaleko od Orvieto, ongiś centrum etruskiego. Trudno uzasadnić opinie badaczy przyjmujących, że Gracjan był biskupem Chiusi, czemu wydaje się przeczyć ten szczególniejszy fakt, że źródła zawsze nazywają Gracjana: Magister albo Magister Gratianus. Dlatego też to tylko z niezachwianą prawie pewnością o Gracjanie można powiedzieć, że pochodził z Włoch, żył w XII wieku, był kamedułą w klasztorze świętych Nabora i Felliksa w Bolonii, gdzie wykładał prawo kanoniczne i teologię na miejscowym uniwersytecie.

II.

O wielkich umysłach z dawnych wieków częstokroć więcej mówią zostawione przez nich dzieła, niż ich życiorysy. Tak też i Gracjana imię uwiecznione zostało dzięki znakomitemu dziełu prawniczemu, ogólnie znanemu pod nazwą Dekretu, któremu wszakże różne w dziejach dawano miana, jak: Corpus Decretorum, Liber Decretorum, Corpus Canonum, a które prawdopodobnie sam autor nazwał: Concordantia Discordantium Canonum, dla uwypuklenia założenia i celu, jaki sobie postawił, to jest ujęcia prawodawstwa kościelnego w jednolity, uporządkowany i zgodny kodeks. I w tym leży istotna wielkość dzieła Gracjana. Łatwo to powiedzieć w dwóch słowach, lecz to jeszcze nie wiele mówi o doniosłości dokonanej pracy. Trzeba więc w krótkim bodaj zarysie przedstawić stan prawodawstwa kościelnego i prac z nim związanych przed Dekretem, aby zrozumieć na czym polegała zasługa jego autora.

W owych czasach nie istniały — jak to dziś ma miejsce — kodeksy prawa, ujmujące w formie krótkich i zwięzłych przepisów prawodawstwo państwowe lub kościelne. Kodeksy takie poczęły zjawiać się dopiero w XIX stuleciu, a kodeks prawa kanonicznego zrodził się dopiero w początkach naszego wieku i obowiązuje od roku 1918. W pierwotnym ustawodawstwie kościelnym, które począwszy od pierwszych dni istnienia Kościoła stale się bogaciło — najpierw przez rozporządzenia Apostołów, później papieży, biskupów, synodów i władzy państwowej — ilość przepisów prawnych doszła z biegiem czasu do tak wielkiej liczby, że zebranie ich w odpowiednią całość okazało się nieodzowne. Toteż najpierw na Wschodzie powstają kolekcje zawierające w pierwszym rzędzie kanony soborów, a nierzadko przepisy prawa swieckiego.

Na Zachodzie w wieku VI, z polecenia papieża Gelazjusza I, Dionizjusz Mały, mnich przybyły ze Wschodu sporządził trzy kolekcje, które za papieża Hadriana I (w. VIII), ujęte w jedną całość i nowymi dekretami uzupełnione, tworzą pod nazwą: „Collectio Dionysio-Hadriana" jeden z najbardziej znanych i podstawowych w ówczesnym średniowieczu zbiorów prawa kościelnego. Z biegiem wieków powstają w Kościele nowe problemy, przekształcają się formy organizacyjne, rodzą się nowe instytucje, wzrasta w konsekwencji zakres i objętość ustawodawstwa. Powstają wtedy nowe kolekcje, które już to dodają do wcześniejszych teksty ustaw i rozporządzeń później wydanych, już to selekcjonują ten olbrzymi materiał zależnie od potrzeb, jakim dany zbiór miał służyć, albo w zależności od tendencji, jakie reprezentował autor, a wreszcie od celu, jaki sobie postawił.

Typowy tego przykład widzimy w kolekcji zwanej pseudo-izydoriańską (w. IX), której autorzy postawili sobie za cel wzmocnić władzę duchową papieża i biskupów i przez to uniezależnić ich od zgubnych wpływów władzy świeckiej. Wybierali więc przede wszystkim te teksty, które ich założeniom odpowiadały, zwłaszcza ustawy umacniające władzę papieską.

Zazwyczaj na każdą kolekcję składały się teksty Pisma św., wyjątki z pism Ojców Kościoła, kanony synodów powszechnych i partykularnych, ustępy z listów i rozporządzeń papieży, statuty biskupów, przepisy prawa rzymskiego (na którym prawo kościelne w dużej mierze się oparło), ustawy władców świeckich oraz opinie pisarzy Kościoła. W tej olbrzymiej masie tekstów nie wszystko było autentyczne; tu i ówdzie błąkały się nawet sfałszowane dokumenty, a sporo było takich, które się podszywały pod cudze autorytety. Atoli znaczenie tych zbiorów dla rozwoju prawodawstwa było ogromne, aczkolwiek nie wszystkich wpływ i rola równorzędne. Prócz wyżej wymienionych kolekcyj: Dionysio-Hadriana i Pseudo-Isydoriana, aż do narodzin Dekretu Gracjana, wartością naukową i wpływom, jakie na współczesne im dzieje i późniejszy rozwój prawa kościelnego wywarły, odznaczają się szczególnie Dekret Burcharda z Worms i trzy kolekcje Iwona z Chartres: Tripartita (bardzo wcześnie znana i używana w Polsce), Dekret oraz Panormia. Te ostatnie dzieła pochodzą z XI wieku. Do Gracjana, to znaczy do połowy wieku XII, powstało około 50 zbiorów prawa kościelnego.

Po tej całej plejadzie kolektorów zjawia się Gracjan i dokonuje wiekopomnego dzieła, ujmując cały ten olbrzymi, trudny do opanowania, czasami zawierający sprzeczności, poprzetykany ustawami nie autentycznymi, bardzo różnorodny materiał w syntetyczną, uporządkowaną i harmonijną całość. To dokonanie postawiło Gracjana, według opinii znawców historii prawodawstwa, obok cesarza Justyniana, wielkiego prawodawcy rzymskiego. Od Gracjana rozpoczął się nowy, najświetniejszy okres w historii prawa kanonicznego.

Zasługa Gracjana w tym leży, że nie zadowolił się uporządkowaniem zebranych tekstów; w ich szeregowaniu przyświecała mu idea takiego ich logicznego powiązania, by w całości dały pełny wykład prawa kanonicznego. Dla osiągnięcia tego celu zastosował Gracjan nowy układ, dotychczas niespotykany, tworząc misterną a zwartą i mocną konstrukcję dzieła. Podzielił je na trzy części. W pierwszej, zaraz na początku, jakby dla podkreślenia charakteru zbioru, dał studium o prawie w ogólności i prawie kanonicznym w szczególności, a w dalszym ciągu traktuje o duchowieństwie i jego obowiązkach. W części drugiej obejmuje prawo sądowe, karne, spadkowe i małżeńskie, przepisy prawne, regulujące stosunki między klerem świeckim i zakonnym oraz dotyczące sakramentu pokuty. W trzeciej części o charakterze więcej teologicznym i liturgicznym, w obszernym studium zajmuje się przepisami odnoszącymi się do konsekracji kościołów i sakramentów chrztu i Eucharystii. Poszczególne części dzielą się na „distinctiones" lub „causae", a te z kolei na kanony lub kwestie. Nie miejsce tu wchodzić we wszystkie dalsze szczegóły tej ciekawej konstrukcji, wszakże koniecznie trzeba wspomnieć o tych, które wartość dzieła mocno podkreślają. Po wprowadzeniu do każdej „distinctio" lub „causa" Gracjan stawia odpowiednie twierdzenie prawnicze, zwane „Dictum" lub rzadziej „Paragraphus Gratiani", które następnie udowadnia przytaczając szereg właściwych tekstów t. zw. „auctoritates". Zestawy tych tekstów, bardzo bogate i doskonale dobrane, poprzedza skrótami, określanymi mianem „Summaria". Otóż właśnie dzięki tym „Dicta" i „Summaria" oraz tytułom i rubrykom Dekret posiada charakter zwartej całości, jednolitego wykładu prawa, doskonale udokumentowanego bogatymi źródłami.

Ujęcie tak olbrzymiego materiału w tak na owe czasy doskonałą formę było niewątpliwie dziełem w swej dziedzinie epokowym, wysługującym jego autorowi miano „ojca nauki prawa kanonicznego".

III.

Praca dokonana przez Gracjana miała duże znaczenie dla dalszego rozwoju prawa kanonicznego i jego studiów. Dekret stał się podstawą nauczania prawa kanonicznego służąc profesorom jako zasadniczy podręcznik, przy którego objaśnieniu tworzyli t. zw. glossy. Dekret zrodził wiele prawniczych dzieł, jako jego interpretacje. Stał się także nieodzownym w sądach kościelnych, w kuriach biskupich a nawet w kurii papieskiej.

Aczkolwiek nigdy nie był przez papieży uznany jako autentyczny zbiór prawa kościelnego, studium jego przynosi ogromne korzyści historykom prawa, informując o stanie prawodawstwa kościelnego w XII wieku. „Dicta" Gracjana obrazują doskonale metodę nauczania, stosowaną w tej epoce oraz podają ówczesną interpretację tekstów, co ma niemałe znaczenie dla dzisiejszego studium prawa kanonicznego. Boć i dzisiejsze ustawodawstwo kościelne podane we wspaniałej formie kodeksu prawa kanonicznego z r. 1917, jest oparte na starym prawie, co więcej, bywa czasami reprodukcją dawnego, w którym Dekret Gracjana zajmował pierwszorzędną pozycję wchodząc w skład zasadniczego zbioru prawa przedkodeksowego, t. zw. „Iuris Canonici Corpus".

IV.

Oceniając wielką doniosłość Dekretu Gracjana, osiemsetną rocznicę jego ukazania się uczcił uroczyście nie tylko świat nauki, ale i Kościół katolicki, a szczególnie jego Najwyższy Pasterz i Nauczyciel. Właściwym przeto będzie bodaj w krótkim sprawozdaniu omówić przebieg tych uroczystości.

Odbywały się one w dniach od 17 do 22 kwietnia roku ubiegłego w ramach międzynarodowego kongresu „Osiemsetlecia Dekretu Gracjana"*). Kongres rozpoczęty w Bolonii, kontynuowany w Rawennie i Camaldoli, zakończył się w Rzymie. Uroczysta inauguracja miała miejsce na uniwersytecie bolońskim, a poprzedziła ją Msza św., odprawiona w kościele św. Petroniusza przez generała kamedułów, do których zakonu, jak wiemy, należał Gracjan. W inauguracji wziął udział prezydent republiki włoskiej, a Ojciec św. przesłał na ręce rektora uniwersytetu list z życzeniami i błogosławieństwem apostolskim dla uczestników kongresu. W ciągu czterech dni trwania obrad poruszono szereg zagadnień związanych z Dekretem i jego autorem, głównie zaś debatowano nad postępami i koniecznością dalszych prac wydawniczych, zarówno samego Dekretu, jak i dzieł z nim związanych i z niego wyrosłych. Przedstawiciele różnych uniwersytetów złożyli sprawozdania ze stanu prac nad Gracjanem w poszczególnych krajach. Relację niezmiernie głęboką i bogatą w wyniki badań przedłożył profesor katolickiego uniwersytetu w Waszyngtonie, dr Kuttner. W uznaniu zasług wielkiemu temu znawcy Dekretu uniwersytet boloński nadał tytuł doktora prawa „honoris causa". Tenże tytuł otrzymał profesor Sorbony Le Bras, a sufragan bamberski, bp A. M. Landgraf tytuł doktora filozofii „honoris causa".

Przez dwa pierwsze dni kongres odbywał się w Bolonii, następnego dnia w Rawennie, gdzie znajdują się pamiątki związane z Justynianem, czwarty dzień obrad miał miejsce w Camaldoli, w zacisznym klasztorze św. Romualda, ojca zakonu, który wydał Gracjana. W drodze do Rzymu, gdzie kongres miał się zakończyć, jego uczestnicy zatrzymali się w Orvieto, domniemanej ojczyźnie Gracjana. Urządzono tu interesującą wystawę manuskryptów z XIV wieku oraz pierwszych drukowanych wydań Dekretu. Wśród szeregu rezolucji powziętych na kongresie, w większości o charakterze fachowym i naukowym, interesująca jest rezolucja podnosząca znaczenie studium prawa kanonicznego na wydziałach prawa świeckiego. Przytaczamy ją w tłumaczeniu z włoskiego: „Z uwagi na historyczne i zawsze żywe znaczenie prawa kanonicznego dla ogólnej kultury, szczególnie zaś dla formacji prawniczej: a) kongres wyraża życzenie, aby na uniwersytetach nauczanie prawa kanonicznego i historii tegoż było bardziej intensywne, b) tenże kongres z gorącą sympatią przyjmuje życzenie kolegów Włochów, aby na wydziałach prawa świeckiego nauczanie prawa kanonicznego wprowadzono jako obowiązujące dla uzyskania stopnia doktorskiego."

Najbardziej uroczystym dniem kongresu był niewątpliwie ostatni, w którym uczestników przyjął na uroczystej audiencji Ojciec święty. W czasie audiencji Papież wygłosił dłuższe przemówienie o roli i znaczeniu Dekretu i potrzebie ciągłych studiów nad tym dziełem. Porównując pracę Gracjana na niwie prawa kanonicznego z wielkim dokonaniem Justyniana w prawie rzymskim uwypuklił Papież znakomite wartości Dekretu: jego jednolitość, doskonale dobraną strukturę wewnętrzną oraz trafne interpretacje tekstów. Niektóre ustępy tego wspaniałego przemówienia poruszają ogólniejsze zagadnienia, podkreślają mianowicie znaczenie prawodawstwa w życiu Kościoła i tę jego charakterystyczną cechę, którą zwiemy „aequitas canonica".

Dnia 22 kwietnia wieczorem w wielkiej auli uniwersytetu laterańskiego, w obecności kilku kardynałów, biskupów, prałatów, przedstawicieli władz państwowych i świata nauki, odbyło się zakończenie uroczystości związanych z osiemsetną rocznicą ukazania się Dekretu Gracjana.

V.

Dekret Gracjana wywarł także poważny wpływ na polskie ustawodawstwo kościelne. Nic w tym dziwnego, zwłaszcza, że sporo Polaków odbywało swe studia prawnicze na uniwersytetach w Padwie i Bolonii, a niektórzy sprawowali tam nawet urzędy rektorów. Ci po powrocie do kraju zajmując poważne stanowiska w hierarchii kościelnej mieli znaczny wpływ na tworzenie naszego ustawodawstwa kościelnego. Do najwybitniejszych należą Jan Grot, biskup krakowski, uprzednio rektor uniwersytetu w Bolonii (XIV w.), a przede wszystkim arcybiskup gnieźnieński Jarosław Bogorya Skotnicki, twórca kolekcji polskiego prawa synodalnego z r. 1357, a wcześniej rektor tej wszechnicy bolońskiej, na której błyszczał przed wiekiem wielki twórca Dekretu, „monachus Gratianus".

Niech nasz artykuł będzie skromniutkim udziałem w uczczeniu rocznicy wiekopomnego dzieła, jakim zawsze zostanie „Concordantia Discordantium Canonum" Magistri Gratiani.

Ks. Władysław Rubin

*) Marcin herbu Boduła, rodem Polak, dominikanin, kapelan i spowiednik kilku papieży, mianowany przez Mikołaja III arcybiskupem gnieźnieńskim po śmierci Filipa, zmarł w drodze do Polski w Bolonii, w 1278 r. Z dzieł jego najsłynniejszym jest „Kronika papieży i cesarzy".

*) Warto przy tej okazji zaznaczyć, że ani rok 1952 nie jest dokładną datą osiemsetlecia, ani też rok 1951, który by odpowiadał dacie podanej przez kronikarza Marcina. Podobnie jak nie wiele wiemy o samym autorze, tak i o okolicznościach powstania dzieła skąpe posiadamy wiadomości. Wielu badaczy usiłowało ustalić datę powstania Dekretu podając różne lata od r. 1120 do 1151 Na ogół za Fournierem, który w doskonałym studium zacieśnił możliwości powstania dzieła do lat 1140-1150, przyjmuje się w nauce lata 1140-1142 jako najbardziej prawdopodobną datę ukazania się Dekretu. Tak więc osiemsetlecie tego wydarzenia należało obchodzić przed dziesięciu laty, na co nie pozwoliły jednak okoliczności drugiej wojny światowej.

ZBIORY HARLEYA

W kwietniu biblioteka Muzeum Brytyjskiego zorganizowała drugą wystawę posiadanych rękopisów. Obejmuje ona kolekcję manuskryptów Harleya, zapoczątkowaną przez męża stanu Roberta Harley'a, pierwszego lorda Oksfordu (1661-1724) i jego syna Edwarda (1689-1741). Pierwszym większym nabytkiem Harley'a było kupno biblioteki antykwariusza z XVII w., Sir Simonds D'Ewes (w 1705 r.). Odtąd kolekcja stale się powiększała, a kiedy umarł Edward, liczyła 8.000 rękopisów i ponad 14.000 dyplomów i registrów. W 1753 r. zbiory zakupiło państwo za £ 10.000.

Do najstarszych eksponatów należą: Boethiusa: De Consolatione Philosophiae z IX lub X wieku, Psałterz z 1000 r. oraz z tegoż czasu anglosaksońskie Zaklęcia medyczno - magiczne. Wśród dzieł religijnych wybijają się: ciekawie technicznie rozwiązane De laudibus Crucis z XII w., pięknie iluminowana Biblia z XIII w., z XIV w. Apokalipsa po francusku, Speculum Humanae Salvationis a z 1400 r. monumentalna francuska La Bible Historiale. Dalej godne uwagi są doskonale zdobione Opowieści kanterburskie G. Chaucera z początku XV w., wierszowany życiorys św. Edmunda pióra J. Lydgate'a, Upadek Ryszarda II Francuza J. Cretona, cudny egzemplarz Roman de la Rose, św. Bonawentury, życiorys św. Franciszka z 1504 r., z tegoż roku księga nadań Henryka VII, listy królów, Splendor Solis, traktat alchemiczny nauczyciela Paracelsusa oraz kopie dzieł pisarzy starożytnych.

Wystawa będzie otwarta do 28 czerwca.

CZY CUDOWNE UZDROWIENIE W WALSINGHAM?

15-letnia Freda Pogmore, jadąc bez władzy w nogach i jednym ramieniu do Walsingham, tak była przekonana, że zostanie uleczona, iż wzięła ze sobą szkolny mundurek, by włożyć go w drodze powrotnej. Do Walsingham przybyła, będąc sama konwertytką, wraz z matką nie-katoliczką i siostrą Patrycją, także konwertytką. Następnego dnia, po wizycie w Slipper Chapel i po powrocie na śniadanie poczuła najpierw silny ból w lewej nodze i odzyskała w niej władzę, następnie ból jeszcze silniejszy w prawej nodze, po czym także nastąpiło przywrócenie władzy. Pisząc o tym „The Catholic Herald" zaznacza wyraźnie, że „warunki, w jakich znajdowała się Freda Pogmore przed wizytą w Walsingham, czynią nieprawdopodobnym, by Kościół mógł to uleczenie uznać za cud, ponieważ uleczenia z wiary, pobudzonej przez silną emocję, są możliwe w takich wypadkach." Kościół wierzy w możliwość cudów w ogóle, ale do każdego poszczególnego wypadku podawanego jako cud odnosi się z roztropną rezerwą i stwierdza jego cudowność po przeprowadzeniu bardzo sumiennych badań.

ZGON TŁUMACZA „PANA TADEUSZA"

W wieku lat 79 zmarł najwybitniejszy slawista amerykański George Rapall Noyes, emerytowany profesor California University w Berkeley.

Urodzony w r. 1873 w Cambridge, Massachusetts, siedzibie słynnego Harvard University, Noyes poświęcił się studiom nad językami i literaturami słowiańskimi, w szczególności nad literaturą polską i rosyjską. W latach 1898-1900 odbywał studia slawistyczne na uniwersytecie w Petersburgu. W r. 1919 został profesorem języków słowiańskich na uniwersytecie kalifornijskim, ale w okresie 1921-1922 przerwał swe wykłady i odbył dłuższą podróż po Europie, w szczególności Polsce, studiując język i literaturę polską na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

Już na kilka lat przedtem, w r. 1917, ogłosił swe tłumaczenie „Pana Tadeusza" Mickiewicza. Było to drugie z rzędu — jak dotąd żaden inny przekład się nie pojawił — tłumaczenie polskiego eposu narodowego na język angielski. Pierwszego dokonała kilkadziesiąt lat temu Maude Ashurst Biggs (1856-1933), pierwsza na terenie Anglii badaczka literatury polskiej, która poza „Panem Tadeuszem" przełożyła na angielski „Konrada Wallenroda" i kilka innych utworów Mickiewicza (niektóre z tych przekładów pozostały w rękopisach). W przekładzie „Pana Tadeusza" i pisaniu objaśnień dużą pomoc okazał Miss Biggs ówczesny pisarz i zasłużony działacz emigracyjny na terenie brytyjskim — Edmund Naganowski. Tłumaczenie „Pana Tadeusza" ukazało się drukiem w Londynie w r. 1885, w dwóch tomach, p. t. „Master Thaddeus; or, The Last Foray in Lithuania" z przedmową slawisty oksfordzkiego W. R. Morfilla. By pokryć koszty wydania przekładu, Naganowski musiał się uciec do subskrypcji na terenie Królestwa Polskiego, za pośrednictwem wychodzącego w Warszawie tygodnika „Kłosy", którego był korespondentem. Nakład tłumaczenia musiał być jednak bardzo niewielki, skoro dziś jest ono prawdziwą rzadkością bibliograficzną; nawet biblioteka Polish Research Centre w Londynie nie posiada dotąd tej książki.

Tłumaczenie prof. Noyesa pojawiło się w r. 1917, a w r. 1930 ukazało się w kolekcji „Everyman's Library", doczekawszy się w następnych latach szeregu nowych wydań. W przedmowie prof. Noyes stwierdza, że stosunkowo niewiele posługiwał się przekładem Miss Biggs (zaznaczając zresztą, że prawdopodobnie pod jej wpływem użył słowa „foray" na określenie polskiego „zajazdu") — natomiast ogromną pomocą były dlań objaśnienia i dopiski Miss Biggs i jej współpracowników (t. j. głównie Naganowskiego). Noyes tłumaczył poemat Mickiewicza prozą, co oczywiście musiało zatrzeć wiele z piękna oryginału, niemniej przekład jego posiada i duże zalety.

Dziełem pracy wychowawczej Noyesa był duży tom p.t. „Poems by Adam Mickiewicz", wydany w r. 1944 przez Polski Instytut Naukowy w Ameryce. Tom ten obejmuje przekłady wszystkich niemal większych dzieł Mickiewicza („Grażyny", „Sonetów krymskich", „Konrada Wallenroda", III części „Dziadów", „Ksiąg pielgrzymstwa") i wielu mniejszych utworów z „Odą do młodości" i „Farysem" na czele. Przekłady te dokonane zostały przez uczniów prof. Noyesa na uniwersytecie kalifornijskim — bądź wprost z języka polskiego, bądź na podstawie dosłownych tłumaczeń na angielski, dostarczonych przez Noyesa. Cały zbiór poprzedził on obszernym szkicem o twórczości Mickiewicza.

Obok Mickiewicza drugim ulubionym poetą polskim Noyesa był Kochanowski. W. r. 1918 ukazał się przekład „Odprawy posłów greckich" („The Dismissal of the Grecian Envoys") a w r. 1928 tłumaczenie utworów poetyckich („Poems") Kochanowskiego. Przełożył też Noyes na angielski książkę Tadeusza Zielińskiego o religii starożytnych Greków.

Noyes był doktorem honoris causa Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i członkiem-korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności. Odznaczony został krzyżem oficerskim „Polonia Restituta" i złotym wawrzynem Polskiej Akademii Literatury.

DWIE KSIĄŻKI O ŚW. TERESIE Z AWILI

Postać świętej Teresy z Awili wzbudza rosnące zainteresowanie nie tylko wśród pisarzy i myślicieli religijnych, ale także wśród badaczy literatury. Trudno się temu dziwić — stwierdza recenzent „Times Literary Supplement" — skoro niewątpliwie św. Teresa była jedną z najinteligentniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek zajmowały się sztuką pisarską.

Obecnie w dobrym tłumaczeniu angielskim pojawiła się biografia św. Teresy, pióra Marcelle Auclair („Saint Teresa of Avila", Burns Oates, cena 30 sh). Biografia ta opiera się w znacznej mierze na nowowyszukanych dokumentach i przekazach pisemnych i stanowi niewątpliwie najlepsze, jak dotąd, opracowanie życia św. Teresy.

Niemal równocześnie znany hispanista brytyjski prof. E. A. Peers wydał drukiem zbiór swych szkiców i wykładów dotyczących złotego wieku literatury hiszpańskiej ze szczególnym uwzględnieniem św. Teresy z Awili i św. Jana od Krzyża („Saint Teresa of Jesus and Other Essays and Addresses", Faber and Faber, cena 25 sh.). Prof. Peers analizuje z punktu widzenia literackiego i artystycznego listy św. Teresy, podkreślając niezrównane piękno jej stylu i bogactwo wyobraźni.

ST. PAŁĘCKI

NOWE FILMY

CUD W FATIMIE I TAJEMNICA SPOWIEDZI

Dwa filmy w intencji i w wykonaniu całkowicie katolickie wypuściła ostatnio amerykańska wytwórnia Warner Bros: kolorowy, **Miracle of Fatima** i białoczarny melodramat kryminalny o założeniu religijnym **I Confess**, który — jak donosi prasa amerykańska stał się w Stanach Zjednoczonych jednym z 5 najbardziej kasowych filmów ostatniego miesiąca. Choć żaden z tych obrazów nie jest wolny od artystycznych błędów, sam fakt ich wyprodukowania i powodzenie, jakim się cieszą, witamy z prawdziwą radością.

Jak przypominają producenci, **Miracle of Fatima** jest tylko filmową relacją o wydarzeniach prawdziwych, których świadkami były dziesiątki tysięcy ludzi: o widzeniach trojga dzieci portugalskich — żyjącej do dziś zakonnicy Łucji Dos Santos oraz zmarłych Jacinty i Francisco Marto — o pierwszych pielgrzymkach na pustkowia Cova da Iria, pod Fatimą, gdzie widzenia te miały miejsce, o prześladowaniu dzieci przez antyreligijne władze portugalskie i wreszcie o olbrzymim zjeździe do Fatimy ponad półtora miliona pielgrzymów w dniu 13 października 1951, to jest w 35 rocznicę wielkiego cudu słońca i pierwszych cudownych uzdrowień. Ta ostatnia część filmu składa się ze zdjęć autentycznych, dokonanych na miejscu w czasie pielgrzymki: są to najlepsze, wstrząsające partie obrazu. Nocna procesja nieprzeliczonego tłumu pielgrzymów, wypełniająca cały ekran maleńkimi punkcikami świateł, śpiew pielgrzymów, nastrój wielkiego misterium — to wszystko zapada raz na zawsze we wrażliwość widza, zwłaszcza, jeśli — jak podpisany — miał szczęście uczestniczyć w podobnej procesji w Lourdes.

Pozostałe partie filmu są znacznie słabsze. Wydaje się, że reżyser John Brahm i producent Bryan Foy przyjęli fałszywą linię starając się całej relacji nadać charakter czysto dokumentarny. Skoro dawnych wydarzeń nie da się przeżyć, ani odtworzyć tak jak były, trzeba było pokusić się o język artystyczny: postarać się o katolickiego reżysera-artystę i pozwolić mu wejść głęboko w temat środkami sztuki filmowej. Przyjęta przez twórców metoda zemściła się na dziele. Styl dokumentarny zbanalizował i przesłodził, przesentymentalizował całą historię, spłaszczył ją niejako: stała się mniej prawdziwa, niż była w rzeczywistości. Sam cud słońca sfilmowano na tyle niezręcznie, że nieznającym jego opisów widzom trudno się zorientować na czym polegał.

Rolę dzieci z umiarem zagrali: Susan Whitney, Sherry Jackson i Sammy Ogg, włóczęgę Huga Da Silva — Gilbert Roland, księdza Ferreira (proboszcza miejscowego) Richard Hale. W pozostałych rolach: Anglea Clark, F. Silvera, J. Novello, N. Rice, F. Morris i C. Millitaire. Mimo wymienionych wad każdy katolik powinien film ten obejrzeć, gdyż dostarcza on niewątpliwie przeżyć religijnych i na osoby mniej wrażliwe na język prawdziwej sztuki może wywrzeć duże wrażenie.

Pod względem artystycznym **I Confess** Alfreda Hitchcocka stoi znacznie wyżej od Cudu w Fatimie, choć ma wszystkie wady i zalety dobitnego, czasem przechodzącego w krzyk stylu Hitchcocka. Scenariusz G. Taboriego (uchodźca węgierski) i Williama Archibalda, napisany według sztuki Paul Anthelme jest pomysłowy, gdyż z miejsca stawia na głowie konwencję t. zw whodunita. Kościelny jednej z parafii w Quebec (O. E. Hasse) morduje miejscowego adwokata i natychmiast po ucieczce z miejsca zbrodni (w przebraniu duchownego) spowiada się księdzu Michałowi (Montgomery Clift), po czym jednak nie przyznaje się policji i dochodzenie prowadzone jest z fikcyjną (dla widza) niewiadomą. Mimo to — zawdzięczając głównie maestrii Hitchcocka — zainteresowanie akcją ani na chwilę nie słabnie. Ksiądz, związany tajemnicą spowiedzi, nie może wydać zakrystiana i w rezultacie sam staje przed sądem, oskarżony o morderstwo. Nie będę streszczał innych powikłań ciekawej fabuły — dla katolika ważniejszy jest sam problem, który postawiono tu bez zarzutu. Końcowe partie filmu grzeszą hitchcockowską krzykliwością efektów, ale w sumie film jest wybitny i robi wrażenie nie tylko na katolikach, ale również na tutejszych poganach i heretykach, co w dużej mierze trzeba przypisać dobrej grze całego zespołu, z Cliftem na czele.

Piękno literackie powieści François Boyera, piękno gry aktorskiej, czy raczej twórcza obecność dwojga dzieci — 5-letniej Brygidki Fossey i 11-letniego Jerzyka Poujouly — oraz kilku dorosłych (jak Susanc Courtal, L. Badie, L. Saintève), piękno plastyczne fotografii w ruchu (Robert Juillard) i piękno muzyki Narciso Yepes, uzupełniającej akcję i nastrój — to wszystko w rękach znakomitego reżysera René Clement złożyło się na arcydzieło francuskiej sztuki filmowej p. t. **Les jeux interdits (The Secret Game)**. Jest to prosta, a zarazem dziwna historia malutkiej paryżanki Paulette, która straciwszy oboje rodziców w czasie niemieckich nalotów na uciekającą ludność cywilną w roku 1940, zaprzyjaźnia się z synem francuskiego chłopa, by bawić się z nim w „prywatny cmentarz" dla psów, kotów, myszy i szczypawek — w cmentarz, zaopatrywany przez małego Michałka w prawdziwe, kradzione z kościoła i z ludzkiego cmentarza krzyże. Para dzieci, uprawiających tę zabawę z absolutną — lub, jak u Michałka, względną — nieświadomością profanacji świętych symbolów, rzucona na brutalne tło wojny i spoganiałej wsi francuskiej, daje kontrast przejmujący do głębi. Film wstrząsa swą zabójczą krytyką wojny totalnej, budzi zamyślenie nad upodleniem człowieka, wzrusza poezją dwóch zabłąkanych w labirynty dorosłych dzieci, a niekiedy pobudza do śmiechu błyskami ironicznego humoru. Nagrodzone wielką nagrodą wenecką na 1952 r. **Les jeux interdits** są dziełem niezmiernie bogatym, wielowarstwowym mimo prostoty swej fabuły, a przy tym przedziwnie zwartym. Poetycka delikatność odcieni w świecie dziecięcym przypomina film Greene'a-Reeda „Fallen Idol", choć tam akcję oglądaliśmy na zmianę oczami dziecka i oczami dorosłych, gdy tu wszystko pokazane jest ze współczującym dystansem myśliciela i poety. Dla czytelnika polskiego warto dodać, że sekwencje wojenne przypominają żywo nasze własne przeżycia tragicznego września 1939 roku.

Appointment in London jest dobrym przykładem brytyjskiego stylu filmowego, wyrastającego z dokumentacji i stale do niej powracającego. Reżyserem tej historii o jednej z eskadr bombowych RAF-u i jej komendancie (Dirk Bogarde), który przezwyciężając narastającą psychozę lęku osiąga rekordową ilość dziewięćdziesięciu lotów bojowych — jest Philip Leacock, znany z dobrego filmu dokumentarnego o górnikach (The Brave Don't Cry). Film rozpoczyna się niemal banalnie i w pierwszej połowie nie brak mu niedociągnięć — jak na przykład powtarzających się zbyt często motywów. W drugiej połowie akcja zgęszcza się i osiąga szczyt napięcia w znakomitym, pokazanym z różnych punktów widzenia, syntetycznym obrazie nalotu na Niemcy. Wydaje mi się, że w całej kinematografii światowej mało jest tak wyrazistych, a przy tym nie przeciągniętych, naprawdę patetycznych obrazów wojny lotniczej. W rolach pomocniczych Ian Hunter, Dinah Sheridan (tu niezbyt porywająca w niezręcznie napisanym epizodzie) i inni.

Aby wczuć się w inny wybitny film, amerykański **Come Back, Little Sheba**, musimy ze świata dziecięctwa, poezji i wielkich, ogólnoludzkich wzruszeń przenieść się w świat ciągle jeszcze duży, ale ograniczony kręgiem mieszczańskich, trochę staromodnych sentymentów starzejącej się kobiety. Nie jest nią Sheba — to tylko piesek wielkiej aktorki Shirley Booth, który zaginął bez śladu i daje jej powód do malutkiej rozpaczy i do gnębienia zacnego męża - lekarza niewczesnymi wspomnieniami ich pączkującej — po mieszczańsku — miłości. On, dla odmiany jest walczącym z nałogiem alkoholikiem (zbyt śmiało obsadzono w tej roli za młodego na nią Burt Lancastera), co daje reżyserowi możność pokazania ciekawej instytucji: klubu „Anonimowych Alkoholików", pomagających sobie wzajemnie w pozbyciu się nałogu. Film daje szeroki wachlarz przeżyć kobiety w balzakowskim wieku, a nawet znacznie więcej: pokazuje jej szlachetny rozwój i pozbywanie się balastu niewyżytego erotyzmu. Jest to piękne dzieło, ale daleko mu do rangi arcydzieła, gdyż zbyt jednostronnie opiera się na znakomitej kreacji Shirley Booth, która poprzednio grała tę rolę w sztuce scenicznej o tym samym tytule i miała możność wystudiowania najsubtelniejszych odcieni swej wielkiej — na miarę aktorstwa francuskiego — kreacji. Słusznie odznaczono ją za tę rolę Oscarem.

Skoro już mowa o Francuzach, to przejdźmy do francuskiej, artystycznej rozrywki, jaką dał nam świetny reżyser Christian Jaque w postaci wiązanki filmowej, złożonej z czterech, trochę sztucznie powiązanych obrazków pod tytułem **Souvenirs perdus**. Pod pretekstem śledzenia wstecz dziejów różnych przedmiotów, czekających na odbiór w paryskim „Lost Property Office", Christian Jaque z gallicką lekkością i wdziękiem pokazuje nam cztery nowele filmowe — od sentymentalnej komedii, poprzez komedię obyczajową i melodramat aż do znakomitej farsy. Choć puenty wydają się niekiedy nieco naciągnięte, obraz nabiera wagi dzięki znakomitej grze takich aktorów, jak Gerard Philipe, Danielle Delcrme, Fr. Perier, Bernard Blier, Pierre Brasseur i inni. Nie jest to wielka sztuka, ale wspaniała, artystyczna, iskrząca się dowcipem i przejmująca dramatycznym napięciem rozrywka bardzo wysokiej klasy.

Co jakiś czas Hollywood otwiera klapę bezpieczeństwa i zmniejsza wewnętrzne napięcia tysięcy chorobliwych lub usprawiedliwionych ambicji prawdziwych i nieprawdziwych oskarżeń pod adresem ludzi i grup, odpowiedzialnych za przemysł filmowy. Proces ten można by także nazwać „samokrytyką". Takie filmy jak „Sunset Boulevard", „A Star Is Born" albo „All About Eve" napewno oczyszczają atmosferę hollywoodzką i są zjawiskiem zdrowym. Do niemałej ich listy przybył ostatnio film M.G.M. **The Bad and the Beautiful**, znakomicie wyreżyserowany przez Vincenta Minnelli. W porównaniu z innymi dziełami tego typu odznacza się on ciekawą kompozycją — jest mianowicie czymś w rodzaju tryptyku. Na początku widzimy troje ludzi: reżysera, gwiazdę filmową i scenarzystę, zaproszonych na konferencję z dyrektorem wytwórni, który proponuje im współpracę przy nowym filmie ze znanym dobrze producentem (Kirk Douglasem). Następnie kolejno, cofając się wstecz, oglądamy poprzednie zetknięcia tych trzech osób z Douglasem, który w dążeniu do wyprodukowania dobrego filmu nie dbał nigdy o względy moralności, przyjaźni, przyzwoitości. **The Bad and the Beautiful** jest jednak czymś więcej, niż tanim demaskatorstwem; językiem artystycznym mówi on o artyście, o pewnym typie artysty — bo pokazany tu producent-reżyser nie działa wyłącznie z merkantylnych i egoistycznych pobudek i krzywdząc innych, czyni to także w imię swej sztuki. Jednym słowem film unika symplifikacji i dlatego jest ciekawy. Znakomita gra Kirk Douglasa podnosi wartość tego dzieła, którego nie najmniejszą zaletą jest świetne uchwycenie atmosfery Hollywoodu także w drugorzędnych, nawet w drobnych szczegółach. Dla Polaka film jest dość trudny, bo mocno gadany i to bardziej po amerykańsku, niż po angielsku.

• • •

The Cruel Sea — film morski w/g best-sellera Nicholas Monsarrata, wykonany przez Ealing Studios, scenariusz Ercia Amblera, reżyseria Charlesa Frenda — będzie omówiony wraz z książką w oddzielnym artykule.

Street Corner. Jest to kobiecy odpowiednik znanego brytyjskiego filmu o policji **Blue Lamp**, nakręcony przez małżeństwo Sydney i Muriel Box (on pisał scenariusz, ona reżyserowała). Żywa akcja, w której pokazano różne aspekty pracy policji kobiecej — jak walka z prostytucją, opiekę nad dziećmi itp. Dobrze fotografowany, przeważnie na ulicach londyńskich, solidny, półdokumentarny kawałek roboty filmowej. Grają m. i.: Terence Morgan, M. Medwin, Peggy Cummins, Eleonor Summerfield.

The Titfield Thunderbolt. Pod każdym względem typowa, kolorowa komedia brytyjska (miejscami bardzo zabawna) o grupie mieszkańców prowincjonalnej dziury, którzy na własną rękę uruchomiają lokalną linię kolejową, nieopłacalną dla państwa. Typowa w tej imprezie jest także giętkość Ealing Studios, które pod rządami laburzystów nakręciły prawie socjalistycznego „Człowieka w białym ubraniu", a teraz — na benefis konserwatystów — chwalą prywatną inicjatywę. Scenariusz T. E. B. Clarke, reżyseria Ch. Chrichton, grają m.in. Stanley Holloway, G. Relph, N. Wayne i John Gregson.

Grand National Night — to wcale gładka adaptacja filmowa scenicznego kryminalniaka Campbella i Dorothy Christie z Nigel Patrickiem, Moirą Lister, Betty Ann Davies i Beatrice Campbell w rolach głównych. Tłem dochodzeń policyjnych w sprawie morderstwa żony Nigel Patricka są wyścigi i stajnie wyścigowe. Garść dobrych zdjęć koni i końskich biegów osłabia mój krytycyzm i łagodzi sąd wobec tego niewybitnego filmu wytwórni brytyjskiej Renown w reżyserii Roberta McNaugta.

The Final Test jest być może filmem nawet wybitnym, ale dla kontynentalnego Europejczyka absolutnie nie czytelnym, dotyczy bowiem wyłącznie cricketa — zabawy, dla nas, „barbarzyńców" zupełnie hermetycznej. Tym niemniej ten flegmatyczny obraz mówi tomy o angielskim charakterze narodowym. Wystarczy wspomnieć, że występujący tu słynny poeta (gra go b. zabawnie Robert Morley) sam uważa się za nicość wobec zawodowego championa cricketowego Jacka Warnera. Reżyseria A. Asquitha, scenariusz T. Rattigena.

Desperate Moment. Dobrze fotografowana i żywo reżyserowana szmira o pewnym Holendrze (Dirk Bogarde) który niesłusznie został skazany w dzisiejszych Niemczech na długoletnie więzienie; ucieka, by z pomocą swej przyjaciółki Mai Zetterling zebrać dowody swej niewinności. Dęta psychologia, dęte efekty, „mrożące krew w żyłach pogonie" etc. Zmajstrowała to brytyjska wytwórnia Fanfara, reżyserował C. Benet, kiepski scenariusz popełnili P. Kirwani i G. H. Brown.

Rough Shoot. Niezbyt prawdopodobny, ale bardzo zabawny komediothriller amerykański (United Artists) o szpiegach sowieckich i angielskim M. I. 5, którego asem jest groteskowy Polak, pułkownik Sandorski, zagrany dobrze przez Herberta Loma. Wcale niezła zabawa na koszt policji angielskiej. Postać Polaka streszcza w sobie (oczywiście w krzywym zwierciadle) niektóre cechy autentycznych naszych pułkowników. Reżyseria Roberta Parrish, scenariusz Erica Amblera.

St. Pałęcki

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

FESTIWAL FILMOWY W CANNES. W końcu kwietnia odbywał się w Cannes na Riwierze francuskiej szósty międzynarodowy festiwal filmowy. Stał on jeszcze w całości pod znakiem filmu dwuwymiarowego, choć — jak wiadomo — większość wytwórni filmowych, w szczególności Hollywood, przestawia się gwałtownie na to, co określane jest skrótem „3-D" („three dimensions").

W festiwalu nie brały udziału kraje zza żelaznej kurtyny; jak niektóre pisma francuskie i angielskie z żalem podkreślają, „złagodzenie" stosunków z Rosją przyszło za późno, by ten stan rzeczy naprawić. Zdaniem krytyków filmowych, którzy byli obecni w Cannes, festiwal przyniósł sporo rzeczy dobrych w zakresie filmów krótkometrażowych, zwłaszcza dokumentacyjnych i pół-dokumentacyjnych, natomiast zawiódł na ogół, jeśli chodzi o filmy „pełnej długości".

Wśród tych drugich na czoło, wedle zgodnej opinii krytyków, wybił się francuski obraz „Le Salaire de la peur", osnuty na tle powieści Georges Arnaud. Jego twórcą i reżyserem jest Henri-Georges Clouzot. Zdaniem Claude Mauriaca, który omawia festiwal na łamach „Figaro Littéraire", jest to „dzieło monumentalne", nacechowane „okrucieństwem, ale i ludzkością, w stopniu rzadko spotykanym w kinematografii."

Najpiękniejszym jednak dziełem z punktu widzenia ściśle kinematograficznego — pisze Mauriac — był wystawiony na festiwalu film japoński „Les Enfants d'Hiroshima" („Dzieci z Hiroszimy"). Mauriac chwali też bardzo obraz brazylijski „O Cangaceiro"; bohaterem jego jest słynny bandyta, który wraz z garścią swych fanatycznych partyzantów terroryzował przez długi czas północną Brazylię.

Nie zdobył natomiast tym razem uznania recenzentów znany reżyser włoski Vittorio de Sica ze swym nowym filmem „Stazione termini", w którym grają aktorzy amerykańscy Jennifer Jones i Montgomery Clift.

Wśród zaprezentowanych filmów nie brakło obrazów o tematyce i zabarwieniu politycznym; należał do nich film austriacki „Pierwszy kwietnia roku 2000", oraz „uroczy", zdaniem Mauriaca, film hiszpański „Bienvenido, Mister Marshall".

Sprawozdawca „Observera" Lindsay Anderson skarży się na wzrost „snobizmu" wśród organizatorów festiwalu. Po raz pierwszy strój wieczorowy obowiązywał wszystkich uczestników przedstawień, odbywających się wieczorem. Krytycy, którzy do tego przepisu nie mogli czy nie chcieli się nagiąć, skazani zostali na siedzenie w jednej z mniejszych sal, do której przynoszono taśmy filmów, po wyświetleniu ich w „Grande Salle". Organizatorzy festiwalu zastanawiali się, czy można w ogóle dopuścić do uczestnictwa w bankiecie inauguracyjnym Picassa, który przybył w ubraniu welwetowym.

Przykrą niespodzianką dla uczestników festiwalu było dotkliwe zimno, jakie panowało w Cannes, na co wielu nie było odpowiednio przygotowanych, jeśli chodzi o garderobę. Okazuje się, że w roku bieżącym zima przedłużyła się w nieprzyjemny sposób nie tylko w Londynie...

WALTER DE LA MARE. Jeden z czołowych poetów angielskich, Walter de la Mare obchodził ostatnio 80 rocznicę swych urodzin. Cała niemal prasa angielska zamieściła artykuły, wyrażające mu hołd w bardzo gorących słowach. Autorzy ich podkreślają, że Walter de la Mare zdołał zachować swą wysoką pozycję jako poeta aż po ostatnie czasy, mimo wszystkich zmiennych prądów w literaturze i sztuce.

ROZMOWY HITLERA. Dwa lata temu w Niemczech pojawiła się w opracowaniu dr Pickera książka „Hitler's Tischgespräche", zawierająca w formie streszczonej zapiski rozmów, jakie Hitler toczył w latach 1941-1944 z towarzyszami swych codziennych posiłków, gdy przeważnie przebywał na froncie wchodnim. Zapiski te poczynił częściowo bliski „Führerowi" Bormann, częścią sam Picker.

Obecnie ukazała się angielska wersja tych zapisków p. t. „Hitler's Table Talk, 1941-1944" z obszernym essayem wstępnym H. R. Trevora-Ropera (Weidenfeld and Nicolson, cena 30/-). W przeciwieństwie do wydania niemieckiego, w którym zapiski ułożone są wedle tematów, wersja brytyjska przytacza je w kolejności chronologicznej.

W recenzji swej w „Observerze" Alan Bullock podkreśla, że jak wynika z zapisków, oryginalność Hitlera polegała nie na jego ideach, które przeważnie odznaczały się jałowością i banalnością, właściwą pewnym środowiskom niemieckim, ile na niezwykłej zręczności „Führera" w zakresie propagandy. „Hitler — pisze Bullock — był demagogiem w akcji, który grał na obawach, pragnieniach i złudzeniach uczestników masowych zebrań z niesamowitą wirtuozerią".

OBRONA NIEMIECKIEGO SZTABU GENERALNEGO. Nakładem „Frankfurter Hefte" ukazała się niedawno duża rozmiarami książka Waltera Goerlitza „Der Deutsche Generalstab". Jest to pisana pod specjalnym kątem widzenia historia niemieckiego sztabu generalnego, począwszy od czasów Fryderyka II, twórcy pruskiego militaryzmu. W końcowym rozdziale, poświęconym drugiej wojnie światowej, autor zwala całą winę za klęskę Niemiec na Hitlera i konkluduje, — w sposób zresztą niepoparty przekonywującą argumentacją — iż niemiecki sztab generalny, wbrew oskarżeniu trybunału norymberskiego, nie należał do organizacji, które w kierowniczej mierze przyczyniły się do rozpętania tej wojny. Poprzednio jeszcze autor zwala odpowiedzialność za okrucieństwa, popełniane w Polsce, wyłącznie na formacje SS i na policję niemiecką (t.j. Gestapo).

Książka Goerlitza ukazała się właśnie w tłumaczeniu angielskim („The German General Staff", Hollis and Carter, cena 30 sh.). W „Observerze" znany pisarz wojskowy Chester Wilmot bardzo krytycznie ocenia tezy Goerlitza. Przyjmując nawet, — pisze Wilmot — że w latach przedwojennych niemiecki sztab generalny sprzeciwiał się planom Hitlera, trzeba stwierdzić, iż „bardzo niewielu było generałów niemieckich, którzy by byli skłonni ominąć szansę wzięcia udziału w podboju Europy nawet pod kierownictwem Hitlera". Wilmot przypomina też słowa sędziego Lawrence'a, wypowiedziane w trybunale norymberskim, że bez pomocy niemieckiego sztabu generalnego „agresywne ambicje Hitlera i jego towarzyszy partyjnych miałyby charakter akademicki i jałowy".

PO ZGONIE PROKOFIEWA. Claude Baignères kreśli w „Figaro Littéraire" sylwetkę zmarłego niedawno kompozytora rosyjskiego Sergiusza Prokofiewa. Baignères podkreśla, że Prokofiew był ostatnim artystą rosyjskim, który korzystał z wolności poruszania się po całym świecie. Jako dobrowolny uchodźca ze swego kraju po krwawej rewolucji październikowej udał się do Ameryki, gdzie zyskał sobie reputację pianisty „satanicznego i rewolucyjnego", natomiast kompozycje jego określano wzgardliwie jako „karnawał kakofonii". W jego osobie Ameryka nie bez strachu odkryła muzykę rosyjską. „Prokofiew okazał się dziedzicem geniuszu słowiańskiego" (znowuż to identyfikowanie psychiki rosyjskiej ze słowiańską w ogóle!). W twórczości jego odkryto tę samą skłonność do satyry, skłonność nieodłączną od duszy rosyjskiej od czasu Gogola, to samo zamiłowanie do burleski, której przykładem jest „Pietruczka" Strawińskiego, to samo zamiłowanie do płonącego liryzmu, który przyswoił Rimski-Korsakow w swej „Szecherezadzie". Niemniej, zdaniem krytyka francuskiego, na twórczość Prokofiewa oddziaływały i wpływy zachodnie, zwłaszcza w Paryżu.

Kiedy jednak wiedziony nostalgią wrócił on w r. 1938 na stałe do Moskwy, stał się z konieczności służebnikiem sztuki realistycznej typu sowieckiego. Między „Odą do Stalina", marszem wojskowym czy symfonią na cześć Armii Czerwonej odnajdował niekiedy źródła swych dawnych natchnień. Niektóre jednak jego kompozycje, jak n. p. balet na temat „Romea i Julii", ściągnęły na niego niełaskę, z której wykupił się dopiero przez napisanie „Oratorium w obronie pokoju". „Pokoju" oczywiście w znaczeniu takim, jak to rozumieją w Moskwie.

CZYTELNIK, PISARZ, SŁUCHACZ

Związek Pisarzy na Obczyźnie urządza swe wieczory literackie starannie, dbając o zazębianie się czy współbrzmienie kolejnych tematów, o różnorodność obsady mówców, o ich ciężar gatunkowy. Wieczory te są dobrze ogłaszane, zaczynają się punktualnie, toczą się gładko pod wytrawnym przewodnictwem profesora Strońskiego. „Patrzcie, patrzcie, młodzi..."

A jednak nie tylko młodzi, których nie zoczysz, ale i starzy — nie patrzą i nie słuchają. Na ostatnim wieczorze poświęconym „Czytelnikowi polskiemu na emigracji" (z liczną i mocną obsadą) zadałem sobie niewielki trud policzenia słuchaczy. Nie licząc prelegentów i znanych mi przedstawicieli prasy — było ich 32. Wśród nich — jak to się pisze w sprawozdaniach — zauważyliśmy Jerzego Pietrkiewicza. Miły ten skądinąd widok wywołał w nas ostry atak emigracyjnej depresji: jak żywy stanął nam w oczach obraz sali Kopernika na Uniwersytecie Jagiellońskim, przelewającej się od tłumu zasłuchanego w wiersze tego wówczas, 15 lat temu, dorastającego młodzieńca. Oczywiście, niezależnie od dużej już wtedy wartości tych wierszy, ówczesny wieczór Pietrkiewicza wynosiła fala ruchu ideowego. Jaki ruch ideowy ma wynosić pisarzy emigracyjnych? Ta okoliczność nie łagodzi smutku, pogłębia go jeszcze. Warto, po stokroć warto pisać dla małej garstki współczesnych. Ale czy to warto mówić? Żywe słowo nie może liczyć na późnego wnuka. Czyż więc tego rodzaju wieczory nie stają się coraz bardziej obrzędem zamiast być zaspokojeniem potrzeby społecznej?

Okazuje się, że słuchacz i czytelnik, to zgoła różne istoty. Nie ma kryzysu czytelnika — powiedział na wieczorze Józef Kisielewski, nigdy nie mieliśmy równie wdzięcznych czytelników — poparł go Juliusz Mieroszewski. Nie ma kryzysu słuchacza — jest zanik tego typu odbiorcy dóbr kulturalnych, przynajmniej w Londynie. Mieroszewski mówił o tysiącach prenumeratorów „Kultury", nie mniej efektowne cyfry mógł był rzucić Kisielewski, gdyby był mówił o „Bibliotece Polskiej", o głodzie książki ze zwykłą miłą rzeczowością mówiła Maria Danilewiczowa, zgadzali się w ocenie czytelnika pozostali mówcy: Ferdynand Goetel i pani Maria Leśniakowa, właśnie w imieniu „przeciętnego" czytelnika przemawiająca.

Jak pogodzić pęd do czytania z bojkotem odczytów i wieczorów literackich? Jak na ten bojkot zaradzić, jeśli w ogóle można zaradzić? Dużo i gorzko trzeba by o tym rozprawiać, musiało by się mówić o „kryzysie pisarza", o niezdrowej atmosferze życia literackiego na emigracji*) o tym, że talent pisarski rzadko chodzi w parze z oratorskim itd. itd... Nie miejsce tu na takie rozważania, chcę jednak rzucić jedną myśl, jeden pomysł praktyczny. Może by spróbować odświeżenia tematów, zaryzykować wyjście poza ściśle literacką tematykę, pokusić się o zmierzenie się z jakimś prostym, najistotniejszym, wszystkich obchodzącym zagadnieniem? Na przykład urządzić wieczór na temat: „Czy i kiedy wrócimy do Kraju?" Albo: „Czy powinniśmy życzyć sobie nowej wojny światowej?" Przecież i na takie tematy można urządzać wieczory— literackie.

Michał Sambor

*) Charakterystycznym objawem na omawianym wieczorze było to, że prof. Stroński, z upodobaniem i często z wdziękiem komentujący wypowiedzi kolegów po piórze, dopatrzył się aż „głębi" w paru zdaniach od niechcenia wypowiedzianych przez świetnego, ale wyraźnie zniechęconego do całej imprezy, autora „Z dnia na dzień"...

SUBSKRYPCJA NA TOM IV „BIBLIOTEKI POLSKIEJ" OTWARTA

Jeszcze tylko przez pięć tygodni

Książka, której nakłady w językach światowych idą w miliony

FRANCISZKA WERFLA

PIEŚŃ O BERNADECIE

Powieść

Werfel jest wybitnym pisarzem i poetą. Katastrofa Francji w roku 1940 spotkała go szukającego ocalenia przed Niemcami. Poradzono mu, by się ukrył w Lourdes. Tam zetknął się z katolicyzmem i dał się pociągnąć urokowi św. Bernadety, skromnej pasterki, którą Najśw. Maria Panna wybrała na powiernicę swych objawień. W Lourdes Werfel złożył ślub, że jeśli ocaleje, napisze książkę o umiłowanej świętej. Jego pragnieniu stało się zadość. Przez Afrykę dostał się do Stanów Zjednoczonych, gdzie napisał dzieło swego życia, które rychło stało się najpopularniejszą książką świata i zostało sfilmowane. Werfel zmarł w roku 1945, wziąwszy na łożu śmierci jako izraelita chrzest pragnienia.

POWIEŚĆ WERFLA POWINIEN PRZECZYTAĆ KAŻDY KATOLIK

Polakom na obczyźnie ułatwia to KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY VERITAS, wydając „PIEŚŃ O BERNADECIE" w czerwonej serii „BIBLIOTEKI POLSKIEJ".
Subskrypcja na tom I trwać będzie do dnia 30 czerwca, na tom II do 31 sierpnia b. r.
Kto wpłaci od razu przedpłatę za oba tomy (po 9/- lub 1.50 dol. każdy) otrzyma „PIEŚŃ o BERNADECIE" jako całość już w ciągu miesiąca lipca b. r.

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"
12, Praed Mews, London, W. 2.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ZIELONE ŚWIĄTKI, 24 maja 1953.

POLEMIKI

„SUNT CERTI DENIQUE FINES..."

Michał Sambor wypowiedział w liście do redakcji („O uczciwym wątpieniu", ŻYCIE nr 308 z 17 maja b. r.) kilka tez protestanckich i teozoficznych. „W każdej ludzkiej prawdzie — powiada Sambor — jest kąkol błędu", „Bóg tylko zna absolutną prawdę", „każdy mój własny pogląd jest niesłuszny". Te maksymy przeczą ni mniej ni więcej tylko: 1) Pismu św., które jest dziełem ludzi, którzy otrzymali podnietę nadprzyrodzoną i byli wspomagani podczas pisania. 2) całej nauce Kościoła i wszystkim wnioskom ludzkim, wyciągniętym z Objawienia, puszczając wiarę i moralność na flukta osobistych wykładni. Przeczą wreszcie 3) podstawowej zasadzie wiary katolickiej, iż Boga nie tylko można, ale i trzeba poznawać oraz 4) filozofii katolickiej, którą Michał Sambor ostentacyjnie odrzuca.

Realizm katolicki uczy, jak pierwszych liter alfabetu, iż byt jest najzupełniej zrozumiały, poznawalny i racjonalny. W bycie nie ma żadnych sprzeczności. Człowiek jest zdolny poznać wszystko co jest w przyrodzie, a tylko nigdy w pełni nie pojmie skończonym rozumem nieskończonego Boga. Realizm katolicki uczy dalej, że „sąd i zdanie są prawdziwe wtedy i tylko wtedy, gdy stwierdzają to, co jest, a fałszywe, gdy stwierdzają to co nie jest takie w rzeczywistości, jak to, co głoszą; że istnieją prawdy bezwzględne i że człowiek może je poznać" (I. M. Bocheński „ABC tomizmu", str. 17). Fałsz i prawda nie istnieją równocześnie obok siebie. Fałsz i błąd są tylko niewłaściwym stosunkiem umysłu do rzeczywistości. Nie ma zatem prawd względnych, jest tylko ludzka omylność.

Gdyby Michał Sambor napisał, że rozum to nie wszystko, miałby rację. Są pisarze i teologowie (Karol Adam, Romano Guardini), którzy twierdzą, że aczkolwiek rozumowe dowody na istnienie Boga i dowody na uzasadnienie podstaw wiary są obiektywnie prawdziwe i aczkolwiek rozum ludzki zdolny jest zasadniczo do poznania Boga (oczywiście na ludzką miarę) i zrozumienia faktów Objawienia, to jednak poznanie Boga wymaga przeżyciowego, egzystencjalnego zetknięcia się z rzeczywistością nadprzyrodzoną, czyli że nie jest poznaniem wyłącznie rozumowym. Tomizm twierdzi zresztą coś podobnego, mianowicie, że choć praca rozumu poprzedza akt wiary, jednakże sama zgoda na wiarę spowodowana jest nie rozumem, lecz łaską wiary. **Wiara jest aktem intelektu** poruszonego do zgody przez wolę.

Michał Sambor, choć w każdym ludzkim twierdzeniu upatruje kąkol błędu, lubi posługiwać się cytatami. W cytatach, które konkretnie w swym liście przytoczył, kąkol błędu pochodzi niestety z niedokładności cytowania. I tak: Mauriac nie powiedział, że „chrześcijaństwo to nie jest coś, ale Ktoś: Jezus Chrystus", lecz że „chrześcijaństwo to jest **przede wszystkim** Ktoś". Św. Tomasz nie nazwał „ideologii i systemów filozoficznych garścią słomy", lecz o swym widzeniu, które miał we śnie wyraził się, iż **wobec niego** rzeczy, które napisał wydawały mu się garścią słomy. Blaise Pascal rozprawia się surowo z takimi, co wyobrażają sobie, że religia polega tylko „na wielbieniu Boga rozważanego w Jego wielkości, potędze i wieczności". Daje im Pascal następującą odpowiedź: „To jest deizm, prawie równie oddalony od religii chrześcijańskiej, jak ateizm". „...Nie jest prawda, że wszystko odsłania Boga i nie jest prawda, że wszystko Boga kryje. Ale prawda jest, iż równocześnie i skrywa się On tym, którzy Go kuszą i odsłania się tym, którzy Go szukają, ponieważ ludzie są równocześnie i niegodni Boga i zdolni do poznania Go: niegodni przez swe skażenie, zdolni przez swą pierwotną naturę." („Myśli" dział VIII „Podstawy religii chrześcijańskiej").

Powstrzymam się od polemiki z drobnymi nieporozumieniami w liście Sambora, pragnę tylko jeszcze raz podkreślić, że wątpienie nie ma nic wspólnego z pokorą. Pokora nakazuje właśnie wiarę, chociaż się pewnych prawd nie pojmuje. Pokora rzuca chrześcijanina w proch **przed Bogiem**, a nie — jak się wydaje Michałowi Samborowi — przed **błądzącymi ludźmi**. To nie jest pokora, ale współuczestnictwo w błędzie, sankcjonowanie błędu, wyrzekanie się przyjaźni Boga dla przyjaźni złych ludzi.

Wolałbym więc, gdyby pokora świetnego pisarza Michała Sambora powiodła go do przestudiowania podstaw filozofii Kościoła, niż do apologii szyderstw z wiary.

Jan Bielatowicz

NAUKA WSZYSTKIEGO NIE TŁUMACZY

Przeczytałem z zaciekawieniem artykuł p. Pilewskiego o problemie góralszczyzny. Znalazłem w nim rzeczy nowe i dotychczas mi nieznane. Z tych na pierwszym miejscu postawię owych „krajników" oraz kniaziów wołoskich, co to osiedliwszy się na Podhalu, już w wieku XV pełnili z obowiązku służbę wojskową. Trop legendy żołnierskiej na Podhalu przedłuża się przez to wstecz. Później: własne sądownictwo góralskie, również pochodna przeniesionego do podnóża Tatr wołoskiego prawa. Ta wiadomość wytłumaczyła mi dziwne zjawisko samosądów góralskich, które „wybuchły" przed samą wojną, niezrozumiałe dla mnie i większości tych, którzy uważali się za znawców Podhala.

Miałbym i pewne zastrzeżenia... „Typ o smukłej budowie, wysokim wzroście, rysach twarzy drapieżnych, nosie orlim" — niekoniecznie ma ciemną cerę, jak tego chce p. Pilewski. Są górale tego typu i to może najurodziwsi, którzy mają jasne włosy i cerę a oczy koloru „wodnego" czyli niebieskawo-zielonego. Armenoidalnych śladów nie sposób się w nich dopatrzeć.

Zresztą jednak podpisuję się pod wszystkim, co napisał autor artykułu. Nie rozumiem jednak, dlaczego podany w nim zasób wiadomości przeciwstawia w końcowym zdaniu p. Pilewski „mglistym i fantastycznym legendom", snutym przez literatów. Literaci są właśnie od tego, aby doszukiwać się legend. Jeżeli przytem posługują się materiałem nieścisłym czy, gorzej, sfałszowanym, jest rzeczą uczonych zwrócić na to uwagę. Nic jednak więcej.

A teraz to i owo o fantastyczności mych przypuszczeń o prastarym, tajemniczym źródle góralskiej kultury.

Zacznę od rzeczy realnych. W zbiorze dzieł sztuki, jaki miałem przyjechawszy ze Wschodu, znajdował się czerpak tybetański, wyrżnięty w drzewie zwartym jak cis i wybijany srebrem. Gdy go u mnie zobaczył Karol Stryjeński, zawołał: „Gdyby nie oczko wtłoczonego tu chalcedonu, przysiągłbym, żeś to przywiózł z Huculszczyzny". W parę lat później znalazłem się w „gompach" lamajskich u podnóża Himalajów. Wyrżnięte przedmioty rytualne uderzały po prostu podobieństwem z rzeźbą huculską.

Być może jednak, że mnie i Stryjeńskiemu zwidziało się tylko. Aliści w największej z gomp w Pamionczi, u samego podnóża Kanczenczangi natrafiłem na słynny taniec demonów w wykonaniu mnichów buddyjskich i to czcigodnych, czerwonych. Rytm tańca, prócz bębenków, poddawały trombity; jota w jotę takie same, jak na Huculszczyźnie. Trombita, powiedzą uczeni, jest instrumentem czy raczej narzędziem porozumiewawczym używanym przez pasterzy. W górach gdzie panują mgły posługiwano się trombitami, których głos przebijał ćmę, uspakajając zarówno pasące się bydło, jak i towarzyszy pasterza, stroskanych o jego los. Mgieł jednak u podnóża Himalajów (podnóże znaczy w tym wypadku góry wysokości Tatr) nie bywa zupełnie. Pasterstwa też nie dostrzec. Skąd zatem wzięła się trombita w Pamionczi? Jakim sposobem stała się instrumentem sakralnego tańca?

Czyżby ją tu zawleczono kiedyś owym wołosko-armenoidalnym tropem pasterskim, o którym wspomina p. Pilewski? Na pozór nie jest to wykluczone. Jeśli bowiem z Bałkańskiej Wołoszy przerzucimy się do Armenii, znajdziemy się już na zapleczu Kaukazu. Stąd łańcuchami górskimi można przy dobrej woli dotrzeć i do Himalajów. Cóż, kiedy po drodze są góry, owszem z pasterzami, ale bez trombit. Nie pozostaje nic innego, jak dopuszczenie, że trombity wymyślono równocześnie w klasztorach tybetańskich, jak i na połoninach Wołoszy. Wtedy jednak trombita jako narzędzie pasterskie zostaje postawiona pod znak zapytania. Rzecz widocznie jest irracjonalna. Przypominam biblijne „trąby ostateczne". Trombity chyba, a nie waldhorny ni helikony. Nawet nie kobzy.

Zdarzyło się wreszcie, że po owych wizytach w gompach i widowisku tanecznym z trombitami schodziłem zboczem jednego z pagórów granicznych między Sikhimem a Nepalem. Uderzył mnie wówczas kształt zagrody chłopskiej, a raczej zagród rozsianych z rzadka na stoku góry. Rysunek ścian i dachów i układ budowli mieszkalnych i gospodarskich był... podhalański. Byłem oczywiście zasugerowany wprzód trombitą i rzeźbami w drzewie. A jednak...

Jest zdanie w artykule p. Pilewskiego, które tu właśnie podchwycę: „Korzenie oryginalnej sztuki ludowej naszej góralszczyzny tkwią w prastarej kulturze bałkańskiej wołoskich nomadów". Jeżeli w prastarej, to nie koniecznie tylko w bałkańskiej i wołoskiej. I nawet niekoniecznie w armeńskiej, jeśli dołączyć następne ogniwo, przez naukę jeszcze dostrzegalne.

Z chwilą gdy uczony fachowiec używa słowa „prastare", przyznaje, że są zjawiska, przed którymi wiedza jego kapituluje. Czyni to jednak niechętnie, pod przymusem niejako — wagę główną przykłada bowiem do zjawisk, które potrafi jeszcze uchwycić i wytłumaczyć.

Inaczej literat. Tego zajmują i fascynują właśnie owe tropy ginące w „powodzi czasu". Praprzeszłości nie usiłuje odtworzyć, nie stwarza zatem „fantastycznych i ułudnych legend", notuje tylko spostrzeżenia, wskazujące na żywe jeszcze i twórcze oddziaływanie prastarej legendy. Dopomaga mu w tym wrażliwość wysoko uczulonej duszy, błysk oka, szybkość skojarzeń.

Na góralszczyźnie „prastare" nie tylko mnie jednego „chwyciło za gardło". Ulegli mu ludzie tej miary, co Stanisław Witkiewicz, Karol Stryjeński, Karol Szymanowski. Komentarz ich do kultury Podhala nie był z pewnością tak ścisły, jak dochodzenia etnologów, ale z pewnością głębszy i bardziej odkrywczy.

Ferdynand Goetel

ODCZYTY

„WŁADZA W PRZEWROTACH"

Prof. Stronski ujął historię od strony wybitnych jednostek — Pompejusz, Cezar, zwycięstwo tego ostatniego, po jego śmierci Antoniusz, Oktawian, jedynowładztwo Oktawiana — oto osnowa wielkiego przewrotu politycznego w Rzymie I w. przed Chr. We Francji Danton, Marat, Robespierre, Dyrektoriat, Bonaparte i Sieyes, wreszcie dominująca postać Napoleona. W Rosji Sowieckiej z początku nieabsolutna władze Lenina, potem walka Stalina z Trockim, jedynowładztwo Stalina, a po jego śmierci obecny triumwirat Malenkow, Beria, Mołotow.

Prelegent na podstawie swych rozważań wysuwa jakby zasadę, że triumwirat czy duumwirat kończy się zwykle zwycięstwem najwybitniejszej jednostki. Podobny przebieg wypadków należy przewidywać i w dalszych losach obecnego triumwiratu sowieckiego. Prof. Kukiel zauważył, że obecny triumwirat rosyjski, to nie zespół wielkich jednostek takich jak Cezar, Pompejusz, Napoleon, a raczej epigonów. Gdyby we Francji po śmierci Napoleona uchwycił władzę Fouché (minister policji), byłaby to właściwa analogia do sytuacji w Rosji po ewentualnym zwycięstwie Berii.

Z takim indywidualistycznym ujęciem historii, zabarwionym kultem bohaterów (wyraźny podziw prelegenta dla Cezara, najwybitniejszego człowieka starożytności i Napoleona, największej jednostki epoki nowożytnej) można się godzić lub nie. Tym niemniej odczyty prof. Strońskiego są pewnego rodzaju ucztą duchową dzięki żywemu i jasnemu ujęciu przedmiotu, pysznej formie językowej, dowcipowi i ciepłemu, pełnemu zainteresowania stosunkowi do jednostki. Zwłaszcza pociąga go postać Cezara. Podkreślał on jego niechęć do rozpętania wojny domowej, zupełny brak mściwości, zaufanie do ludzi (chodził bez eskorty, co umożliwiło zamordowanie go).

I jeszcze jedno: wszystkie wybitne jednostki, których proces dojścia do władzy opisywał tak żywo prelegent, opierały się o siły popularne. Po tym odczycie nawet zażarty konserwatysta byłby skłonny życzliwszym okiem spojrzeć na swych przeciwników z przeciwnego skrzydła politycznego, bo i tam nie koniecznie zawsze występuje mściwość za doznane krzywdy, krwiożerczość lub doktrynerstwo. I tam mogą występować wybitne siły konstruktywne, umiarkowane w metodach działania, zdolne do zorganizowania siły państwa w trudnych warunkach i pchnięcia go na pełną rozmachu drogę rozwoju.

W dyskusji brali udział: ambasador Raczyński, profesorowie Żółtowski, Wieniewski, Stahl, Kukiel.

M. Wróblewski

UROCZYSTA POLSKA PROCESJA BOŻEGO CIAŁA w tym roku odbędzie się w niedzielę dnia 7 czerwca o godz. 5 po południu na EALINGU w kościele o.o. BENEDYKTYNÓW.

Wszyscy Polacy katolicy mieszkający w Londynie zamanifestują swój udział w procesji, czyniąc zadość zwyczajowi polskiemu.

Dojazd: Kolejką podziemną **(linią zieloną i czerwoną)** do EALING BROADWAY; z Ealing dojazd autobusem 65 lub 97 za 2d do Marchwood Crescent; **(linią niebieską)** do SOUTH EALING i sprzed stacji kolejki podziemnej autobusem 65.

O POŻYTECZNOŚCI BOLSZEWIZMU

(Dokończenie ze str. 1)

dla jednostki i jej praw. Wspomnienie osobiste: napisałem kiedyś artykulisko „o prywatnym człowieku", w którym dowodziłem, że chłop, który niesie gęś na jarmark, aby za nią kupić dziecku koszulinę, postępuje czasem nie mniej, ale bardziej wzniośle, niż gdyby pieniądze za tę gęś złożył na jakiś tam fundusz. Artykuł nie znalazł łaski w oczach Czcigodnych Redakcji Emigracyjnych. Nie, my jesteśmy „uspołecznieni". Wszystko w Narodzie, wszystko przez Naród, wszystko dla Narodu — albo „dla Państwa", zależnie od koloru partyjnego. Ot, nasze ideały.

A proszę: czyż bolszewizm nie urzeczywistnia tych ideałów w sposób nadzwyczajny, bajeczny, nieosiągnięty nigdy przez nasze własne safandulskie rządy? Urzeczywistnia, ma się rozumieć. Chcecie? Macie. To tak właśnie wygląda.

I jakże tu nie podziwiać Opatrzności, która widząc, że nas łagodnymi środkami nie nawróci, raczyła spuścić na nasz Kraj tę potworność spustoszenia? Jakże nie zadumać się nad doskonałością realizacji przez okupantów, naszych własnych „katolickich" poglądów? Przecież, na dobrą sprawę, gdyby tylko tych wstrętnych Minców czy Ochabów usunąć i nami zastąpić, gdyby trochę złagodzić „surowość prawa" — tak na przykład zamiast kilkudziesięciu obozów pracy przymusowej zachować tylko jeden — gdyby wyrzucić z gazet i radia frazeologię komunistyczną a zastąpić ją naszą, wszystko byłoby w gruncie rzeczy jak najlepiej. Nieprawda?

Ja oczywiście szydzę. Wiem, że tak nie myśli u nas nikt. Kłopot tylko w tym, że kto się do wspaniałych Ideałów przyznaje, *powinien* myśleć w ten właśnie sposób. Dlaczego więc nie myśli? Wiadomo: bo ujrzawszy obraz własnej myśli w krwawym zwierciedle azjatyckiego chamstwa, przeraził się. Wziął go strach. Tak bardzo nawet, że gada dziś i pisze, jak gdyby zawsze wierzył w jedyną, niezmienną etykę, jak gdyby rozumiał znaczenie wolności Kościoła i jego związku z Rzymem, jak gdyby był nie tylko w słowach, ale i w postawie prawdziwym demokratą i tak dalej. Ja powiem nawet więcej: on co prawda taki dawniej nie był — ale dziś bodaj już jest albo zaczyna być.

I jakże tu nie uznać, że bolszewizm ma i pożyteczne skutki? Nie tylko pożyteczne, lecz, śmiem twierdzić, wprost błogosławione: pomaga nam oczyścić się z herezji a stać się na serio wyznawcami chrześcijaństwa.

I.M.B.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

BOGATY SEZON TEATRALNY W LONDYNIE

Po bardzo jałowym w dziedzinie teatralnej okresie jesieni i zimy przyszła obecnie zmiana na lepsze. Wydarzeniem teatralnym stało się wystawienie przez „Old Vic" „Henryka VIII" — jednego z tych dramatów Szekspira które nie cieszyły się nigdy wielkim uznaniem wśród uczonych szekspirologów i krytyków, natomiast są popularne wśród publiczności. Sztukę starannie wyreżyserował Tyrone Guthrie.

Wystawienie jej nabrało specjalnego charakteru w związku z bliską koronacją Królowej Elżbiety II. Aluzje do koronacji, odbywającej się w tamtych czasach, wywołują żywy oddźwięk wśród widzów. Sama Królowa przybyła w towarzystwie księcia Edynburga na pierwsze przedstawienie sztuki.

Na specjalnie zbudowanej scenie przy Royal Exchange w londyńskim City teatr „Mermaid" wystawia komedię Szekspira „As You Like It" („Jak wam się podoba").

W teatrze St. James's gości zespół Comédie Française z Paryża, który gra „Świętoszka" Moliera i inne sztuki.

Znany dobrze przedwojennej Warszawie utwór G. B. Shawa „The Apple Cart" grany jest w teatrze Haymarket z udziałem Noel Cowarda i Margaret Leighton. Jest to jedna z nielicznych sztuk Shawa, które od czasu do czasu pojawiają się jeszcze na którejś ze scen londyńskich — obok „Pygmaliona", „Saint Joan" i „The Doctor's Dilemma".

W King's Theatre (Hammersmith) Donald Wolfit ze swym zespołem wystawia „Króla Edypa" i szekspirowski „Wieczór Trzech Króli".

W Wyndham's Theatre idzie nadal z wielkim powodzeniem sztuka Grahama Greene'a „The Living Room", o wystawieniu której już donosiliśmy.

ODKRYCIA W DULWICH GALLERY

Galeria w Dulwich, której trzon stanowią obrazy zakupione w końcu XVIII wieku dla króla Stanisława Augusta, przedstawia się obecnie, po ponownym jej otwarciu, inaczej pod wielu względami, niż w okresie przedwojennym. Sir Gerald Kelly, który został „gubernatorem" (governor) Dulwich College w r. 1944, postanowił poddać około 200 obrazów — w tej liczbie wszystkie najlepsze — restauracji i oczyszczeniu i powierzył tę pracę p. J. Hellowi. Wedle ogólnej opinii krytyków, obrazy bardzo na tym zyskały, w szczególności malowidło Rubensa „Wenus, Mars Kupidyn", Rembrandta portret dziewczyny przy oknie, „Bal" Watteau, trzy obrazy Murilla, obrazy Poussina, świetny obraz Veronese, a także płótna Gainsbourough.

Oczyszczenie obrazów przyniosło kilka ciekawych odkryć. Okazało się, że „Wenus opłakująca Adonisa" stanowi szkic Rubensa; spod pędzla Rubensa pochodzi również krajobraz, którego autorstwo było do tej pory wątpliwe. Podobnie ustalono, że portret młodego mężczyzny (nr 221) jest dziełem Rembrandta, o czym dotąd nie wiedziano.

Odbudowa zrujnowanej galerii i zaopatrzenie jej w nowoczesne urządzenia kosztowało 20.000 funtów, których dostarczyła fundacja „Pilgrim Trust". Galeria obejmuje obecnie około 600 obrazów.

NOWY SUKCES TANCERZY POLSKICH

W wielkiej sali King's Hall w Manchesterze, mogącej pomieścić kilka tysięcy osób, odbył się w tych dniach trzeci Międzynarodowy Festiwal Tańców Ludowych, w którym wzięły udział zespoły taneczne dwunastu narodów.

Dużym powodzeniem cieszyły się występy zespołów polskich, które tańczyły zbójnickiego, mazura i krakowiaka. Szczególnie krakowiak, odtańczony przez szesnaście par w strojach ludowych, wywołał entuzjastyczny odzew u publiczności.

Manchester coraz bardziej wybija się na drugą — po Londynie — „stolicę" emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii.

O PRZEDZIAŁY KOLEJOWE DLA PANÓW

Jak wiadomo, koleje brytyjskie — podobnie jak koleje innych krajów — posiadają przedziały, zarezerwowane specjalnie dla pań („Ladies Only"). Obecnie jednak p. Arthur Lucas, były radny miasta Crayford, wystąpił do zarządu kolei z petycją, by obok przedziałów dla pań wprowadzone zostały również osobne przedziały dla mężczyzn („Men Only"). P. Lucas, który codziennie jeździ z jednego z miasteczek Kentu do Londynu, twierdzi, że towarzystwo kobiet w przedziale jest mocno męczące, że parokrotnie pokłuty już został szydełkami od robótek i nie ma ochoty słuchać ciągłych rozmów na temat prania. Utrzymuje on, że w razie wyznaczenia osobnych przedziałów dla mężczyzn będą one miały duże powodzenie. Mężczyźni lubią zapalić fajkę lub opowiedzieć sobie kilka „kawałów", zwłaszcza gdy mgła lub inna jakaś przeszkoda spowoduje zatrzymanie się pociągu w drodze i trzeba czas jakoś zabić. Prawdziwie zaś ambarasująca sytuacja powstaje, gdy mężczyzna stanie oko w oko z kobietą w przedziale, do którego wepchało się coś około 25 osób, to jest dwa razy tyle, niż jest przepisane.

Niezwykła, nawet jak na stosunki angielskie, petycja p. Lucasa nie spotkała się z przychylnym przyjęciem władz kolejowych, które uznały ją za „frivolous". P. Lucas nie traci jednak nadziei, że z biegiem czasu mężczyźni uzyskają w kolejach te same przywileje, co płeć piękna.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU LITERACKIEGO POLSKIEJ ROZGŁOŚNI RADIA „WOLNA EUROPA"

W dniu 3 maja, w czasie uroczystej audycji, poświęconej pierwszej rocznicy polskiej rozgłośni Radia „Wolna Europa" w Monachium, ogłoszono wyniki konkursu literackiego, który rozpisany był na jesieni ubiegłego roku. Konkurs obejmował trzy tematy do opracowania. Pierwszy temat: „Moje najciekawsze przeżycie z lat 1939-1952". Drugi temat: „List do Kraju n. t. Co chciałbym powiedzieć przyjaciołom w Polsce". Trzeci temat: „Co Zachód może przeciwstawić komunizmowi". Ogółem napłynęło 544 prac, nadesłanych z 22 krajów i pięciu kontynentów.

Największą ilość prac (214) nadesłano z Wielkiej Brytanii, następnie ze Stanów Zjednoczonych (78), z Kanady (50), z Francji (46), z Niemiec Zachodnich (37). Z tego 276 prac zawierało odpowiedź na temat pierwszy. Drugi temat obejmował 167 prac, trzeci — 101 prac. W skład Sądu Konkursowego wchodzili: Wiktor Budzyński, Gustaw Herling-Grudziński, Zdzisław Marynowski, Wacław Modrzeński, Tadeusz Nowakowski, Marian Piotrowski, Eugeniusz Romiszewski i Aleksandra Stypułkowska. Przewodniczącym Sądu był kierownik polskiej rozgłośni Radia „Wolna Europa", Jan Nowak. W pracach Sądu Konkursowego brał również udział redaktor Stanisław Strzetelski z Nowego Jorku.

Wśród prac z tematu pierwszego nagrodzono prace następujące:

Pierwsza nagroda (300 dolarów) — „Złamany krzyż". Autorka zastrzegła sobie poufność nazwiska. Praca pochodzi z Anglii.

Druga nagroda (200 dolarów) — „Szeregowiec Abraham Moneta". Autor — Bronisław Przyłuski z Anglii.

Trzecia nagroda (100 dolarów) — „Dziwna Msza". Autor — Aleksander Alfons Klotz, Londyn.

Trzecią nagrodę dodatkowo przyznano pracy Wacława Solskiego ze Stanów Zjednoczonych.

Z prac na drugi temat nagrodzono prace następujące:

Pierwsza nagroda (300 dolarów) — autor Stanisław Gostek, Sztokholm.

Druga nagroda (200 dolarów) — autor zastrzegł sobie poufność nazwiska. Praca pochodzi z Anglii.

Trzecia nagroda (100 dolarów) — „List do siostry", autorka Olga Żeromska, Londyn.

Z prac na temat trzeci nagrodzono następujące:

Pierwsza nagroda (300 dolarów) — autor Michał Sambor, Londyn (współpracownik Katolickiego Ośrodka Wyd. Veritas).

Druga nagroda (200 dolarów) — autor Józef Maria Ursyn, Afryka Środkowa.

Trzecia nagroda (100 dolarów) — autor W. Nienaski, Francja.

Prócz tego wyróżniono 30 prac.

Wiele prac niewyróżnionych i nienagrodzonych zostanie wykorzystanych w programach rozgłośni za opłatą normalnego honorarium.

Prace nagrodzone i wyróżnione nadawane będą w ciągu kilku nadchodzących miesięcy. Terminy ich nadawania będą zawczasu ogłaszane w komunikatach rozgłośni.

NASTĘPNE NUMERY „ŻYCIA"

Ze względów technicznych zmuszeni jesteśmy materiał poświęcony Polakom pozostałym w Rosji sowieckiej przesunąć do numeru 22(310) ŻYCIA. Na treść tego numeru złożą się m. in. następujące artykuły: Józefa Kisielewskiego o Polakach w Rosji, ks. M. Wojciechowskiego o Prałacie Konstantym Budkiewiczu, życiorys Arcybiskupa Cieplaka, przekład fragmentu powieści R. C. Hutchinsona p. t. „Wspomnienie pewnej podróży" (Z. Broncla).

Nr 23(311) ŻYCIA z datą 7 czerwca 1953 będzie miał 6 stron i zawierał będzie dodatek miesięczny „ŻYCIE KRAJU". Numer ten będzie poświęcony poezji współczesnej. Na treść złożą się m. in. następujące prace i utwory: T. S. Eliota „Środa Popielcowa" w przekładzie Jerzego Niemojowskiego oraz essay o poezji Eliota, Łukasza Winiarskiego „Spotkanie z poezją szwedzką" oraz tegoż autora przekłady z liryki szwedzkiej. „ŻYCIE KRAJU" będzie zawierać pracę Marii Danilewiczowej o wydawnictwach z zakresu filologii polskiej, artykuł Glossatora „Krytyka i samokrytyka w państwach za żelazną kurtyną", ciąg dalszy listy „Strat kultury polskiej w r. 1952" i materiał kronikarski.

W ciągu czerwca i lipca b. r. ukażą się specjalne, powiększone numery ŻYCIA, poświęcone problemom egzystencjalizmu oraz katolicyzmowi w Irlandii.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres Redakcji i administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 12 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja nadanych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal also Money orderam względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//), wystawionych na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 lam — £1, w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Peiaca", Av. Leeandro N. Alem 841 — Buenos Aires. BELGIA miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowski, 101, Augusta Lambiotte, Bruxelles 3. FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo: „Libella" Libraire, 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 260 DM. Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", 22) Quakenbrück, Shiphhorst 2 i St. Mikiciuk, (13 B) München 54, Seehamerastr 4, Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse Case Postale 19, Fribourg 3. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski Anggatan 1c, Lund, Sverige, Sweden. — U.S.A.: kwartalnie pocztą zwykłą 2 $, pocztą lotniczą 5 $. Przedstawiciele: 1) Mrs. J. Stojanowska, 83, East 22-nd Street Bayonne, N. J. 2) Gryf Publication, 808, Wager st. Utica, 3) Bagiński, 5050, Cass Avenue, Detroit 2, Michigan, U.S.A.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12 Praed Mews, London, W. 2. Tel: PAD 9734